NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 8 sierpnia 1908. Nr. 32.

Matka morderczynią dziecka.

(Treść na str. 2).



Matka morderczynią dziecka.

(Do illustracyi tytułowej).

Lwów stał się znowu widownią pełnego grozy morderstwa, spełnionego w dniu 31 lipca przez matkę na własnem dziecku. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że biedna kobieta dopuściła się tego strasznego czynu pod wpływem choroby umysłowej, której uległa jeszcze w ubiegłym roku; była nawet leczoną, lecz w marcu b. r. wypuszczono ją. jako zdrową ze szpitala; inaczej trudnoby sobie było wyobrazić, jak matka mogła się targnąć na życie własnego dziecka.

Z drugiej znowu strony należy zaznaczyć, że wypadek ten jest jaskrawą illustracyą stosunków panujących u nas na oddziałach dla umysłowo chorych. W Galicyi wedle statystyk urzędowych jest przeszło 10 tysięcy chorych umysłowo, którzy ze względu na bezpieczeństwo otoczenia powinni być trzymani pod dozorem lekarskim, a na to mamy krajowy zakład w Kulparkowie i oddział u św. Łazarza w Krakowie, zdolne razem pomieścić 3 tysiące chorych. Nic też dziwnego, że skoro pacyent okaże jakie takie polepszenie, już się go puszcza do domu, aby zrobił miejsce innym.

Kto wie, czy ta okoliczność nie miała i tu miejsca; może biedna kobieta, poddana gruntownemu leczeniu, nie byłaby się dopuściła tego strasznego czynu, z którego sobie sprawy teraz nie zdaje, a który potem, gdy przyjdzie do posiadania zdrowych zmysłów, gotów ją na zawsze rozumu pozbawić.



Polskie wycieczki w Pradze: Słuchacze politechniki lwowskiej z profesorami na wystawie w Pradze. 1. Prof. Dzieślewski; 2. prof. Fiedler; 3. prof. Maryniak.

Zuzanna Powroźnik, żona stolarza, zajętego w miejskiej elektrowni we Lwowie, wzorowa żona i matka, choć bieda nieraz dała się we znaki, od października zeszłego roku zaczęła zapadać na zdrowiu, uczuwała częste a silne bóle głowy, wreszcie poczęły ją trapić nudności i chorobliwa senność. Strapiony mąż oddał żonę na kuracyę do szpitala, a sam z kilkorgiem dzieci łatał biedę, jak umiał, prosząc Boga o zdrowie żony, bez której szło w domu coraz gorzej.

Na oddziale psychonerwowym leczono ją od połowy lutego b. r. do pierwszych dni marca i wtedy opuściła szpital z zapewnieniem lekarza, że już jest zdrowa.

Ale choroba tymczasem wzmagała się coraz bardziej, aż doszła do takiego stadyum, że mąż postanowił oddać żonę z powrotem do szpitala na kuracyę, a nawet przed nią samą i dziećmi kilka razy się z tem zwierzył.

Wiadomość ta dziwnie wpłynęła na schorowany umysł kobiety, a rezultatem tego było zamordowanie czteroletniej córeczki Heleny.



Polskie wycieczki w Pradze: Uczestnicy wycieczki z Królestwa polskiego na placu wystawy. 1. I. Wiceburmistrz dr. Stych; 2. II. Wiceburmistrz Jirousek; 3. Zdzisław ks. Lubomirski.

Wieczorem przed kilku dniami, gdy dziecko zasnęło w kołysce, matka wyprawiła starszego syna, który bawił się w mieszkaniu, pod jakimś pozorem na podwórze, zamknęła drzwi na klucz, pochwyciła siekierę i silnem uderzeniem przecięła dziecku gardło.

Krzyk matki, biednego konającego dziecka i chłopca będącego na podwórzu, zaalarmował sąsiadów, którzy zawiadomili policyę.

Powroźnikowa, badana o powód morderstwa, zeznała, że dokonała go pod wpływem obawy o los córki, gdy ona sama będzie na kuracyi w Kulparkowie. Obawiała się, że dziecko będzie oddane na wychowanie na wieś, między chłopów, wolała więc pozbawić je życia.

Morderczynię osadzono w aresztach policyjnych, gdzie poddaną będzie gruntownemu badaniu, czy nie zachodzą u niej objawy zboczenia umysłowego, co można stwierdzić tylko na podstawie dłuższej obserwacyi, a co wykluczałoby karygodność czynu.

Polskie wycieczki w Pradze.

Zaledwie minęły uroczyste dni zjazdu słowiańskiego w Pradze, gdzie sprawa zjednoczenia Słowiańszczyzny tak szczęśliwie została zapoczątkowana, zaledwie gościnne mury „Złotej Pragi" opuściło grono wybitnych polityków, zawitała tam wielka wycieczka Polaków z Królestwa, wiedziona przez ks. Zdzisława Lubomirskiego. Znaczenie tej wycieczki, zwłaszcza ekonomiczne, jest bardzo doniosłe. To też Czesi uczynili wszystko, aby uczestnikom tej wycieczki pobyt w Pradze umilić i dać jak najwięcej spososobności do zapoznania się z przemysłem i kulturą swego kraju.

Wycieczka z Królestwa była zorganizowaną doskonale, a brało w niej udział przeszło 300 osób ze wszystkich sfer. Zwłaszcza licznie reprezentowany był świat przemysłowy i kupiecki, sporo też było magnatów polskich. Prócz ks. Zdzisława Lubomirskiego, ks. Światopełk-Mirski, hr. Zamojski, hr. Łubieński, Plater, Potocki, Krasiński, margrabia Wielopolski i inni.

Już w drodze do Pragi witano wycieczkę na dworcach w kilku większych miastach bardzo serdecznie, nawet owacyjnie, tak że goście z Królestwa przybyli do stolicy kraju czeskiego pod bardzo dodatniem i miłem wrażeniem. W Pradze powitał przybyłych zastępca burmistrza dr. Stych, wyrażając przekonanie, że wycieczka ta jest dalszym krokiem w dziejach zbliżenia się dwu bratnich narodów. Imieniem Polaków odpowiedział ks. Lubomirski, zaznaczając, że Polacy przybyli do Pragi, aby przypatrzyć się owocom pracy czeskiego narodu i oddać tej pracy i jej pionierom hołd należny.



Polskie wycieczki w Pradze: Powitanie uczestników wycieczki z Królestwa polskiego na dworcu w Pradze.

W czasie kilkudniowego pobytu w Pradze, zwiedzili uczestnicy wycieczki bardzo dokładnie całą piękną wystawę jubileuszową, a przez cały czas byli przedmiotem gorących, serdecznych przyjęć i owacyi ze strony narodu czeskiego. Wspaniały był zwłaszcza bankiet, urządzony na wyspie Zofii przez radę miejską na cześć gości. Poważne, nastrojowe przemówienia, jakie tam wygłoszono, zamieniły ucztę na wielką uroczystość zbratania się polsko-czeskiego.

Pod względem ekonomicznym doniosłe znaczenie ma uchwała, powzięta przez kupców i przemysłowców polskich na zebraniu z czeskimi przemysłowcami. Wyrażono tam przekonanie, iż wyroby przemysłu czeskiego, należące do działów grafiki, narzędzi rolniczych, szkła, pasów i zastosowań elektryczności, mogą bezwarunkowo zwycięsko współzawodniczyć z wyrobami niemieckimi na rynkach Królestwa polskiego. Postanowiono też wysyłać jak najwięcej czeskich ajentów podróżujących do Królestwa, ułatwić dyskonto weksli kupcom i otworzyć biuro pośrednictwa w handlu polsko-czeskim.

Pod wrażeniem serdecznego przyjęcia, ogłosił prowadzący wycieczkę ks. Lubomirski w dziennikach praskich podziękowanie za gościnę, wyrażając się z największem uznaniem o przemyśle i handlu Czechów, oraz o wspaniałej ich wystawie.

Jeszcze w czasie pobytu wycieczki z Królestwa przybyło do Pragi grono słuchaczów politechniki polskiej we Lwowie, również celem zwiedzenia interesującej wystawy. Na czele tej wycieczki stali profesorowie Roman Dzieślewski, Tadeusz Fiedler i Bogdan Maryniak.

I tę wycieczkę podejmowano w Pradze z serdecznością i gościnnością, to też technicka młodzież ze Lwowa powróciła do domu z wrażeniami jak najmilszemi.

Czeska wystawa.

Wystawa w Pradze urządzona jest z takim smakiem, znajomością rzeczy i przepychem, że zadziwia nietylko zjeżdżających się ze wszech stron



Czeska wystawa: Ogólny widok placu wystawy w Pradze.

„braci Słowian", ale nawet Anglików, którzy ją tłumnie zwiedzają, mimo jednak ogromnej frekwencyi musi dać około trzech milionów deficytu.

Sama wystawa zajmuje przestrzeń 75.000 metrów kwadratowych królewskiej „Obory", tj. parku, a wystawcy niemieccy tworzą tylko niecałe 10% — co, wobec niemieckości okręgów przemysłowych czeskich — jest widocznym znakiem bojkotu niemieckiego.

Wszystkie prawie pawilony, między nimi imponujący pawilon reprezentacyjny i wspaniałą halę maszyn, budowali sami Czesi, przeważnie ze żelazo-betonu, znajdującego w budownictwie coraz większe zastosowanie, a o ich rozmiarach może świadczyć jeden z trzech wielkich reprezentacyjnych pałaców na wielkim placu wystawy, tj. Hala przyjęć Izby obwodu przemysłowego praskiego, wysoka na cztery piętra, w typie londyńskiej sali przyjęć na ratuszu w City z dwoma skrzydłami, w których umieszczono: inżynieryę i architekturę, sukienniczy przemysł, instrumenty i aparaty, środki lokomocyi, transportu, oraz urządzenia i instytucye dla ochrony robotnika i wyrobnika.

Kto pamięta krakowską wystawę, a choćby nawet i lwowską, która była o wiele od pierwszej okazalszą, a kto widział wystawę w Pradze, ten musi przyznać, że nasi pobratymcy z nad Wełtawy grubo nas prześcignęli pod każdym względem i powinni stać się dla nas wzorem, jak szanować „swoje", a nie pozwolić wtykać nosa nieproszonym gościom; słowem Czesi obchodzą dziś tryumf niebywały, pomimo kpin niemieckich ze wszystkiego co czeskie, pomimo trudności, jakie niemiecki rząd centralny na każdym kroku stawia Czechom; śmiało można powiedzieć, że ten czteromilionowy naród w dziedzinie przemysłu i gospodarki stał się czołem i dumą prawie całej Słowiańszczyzny.



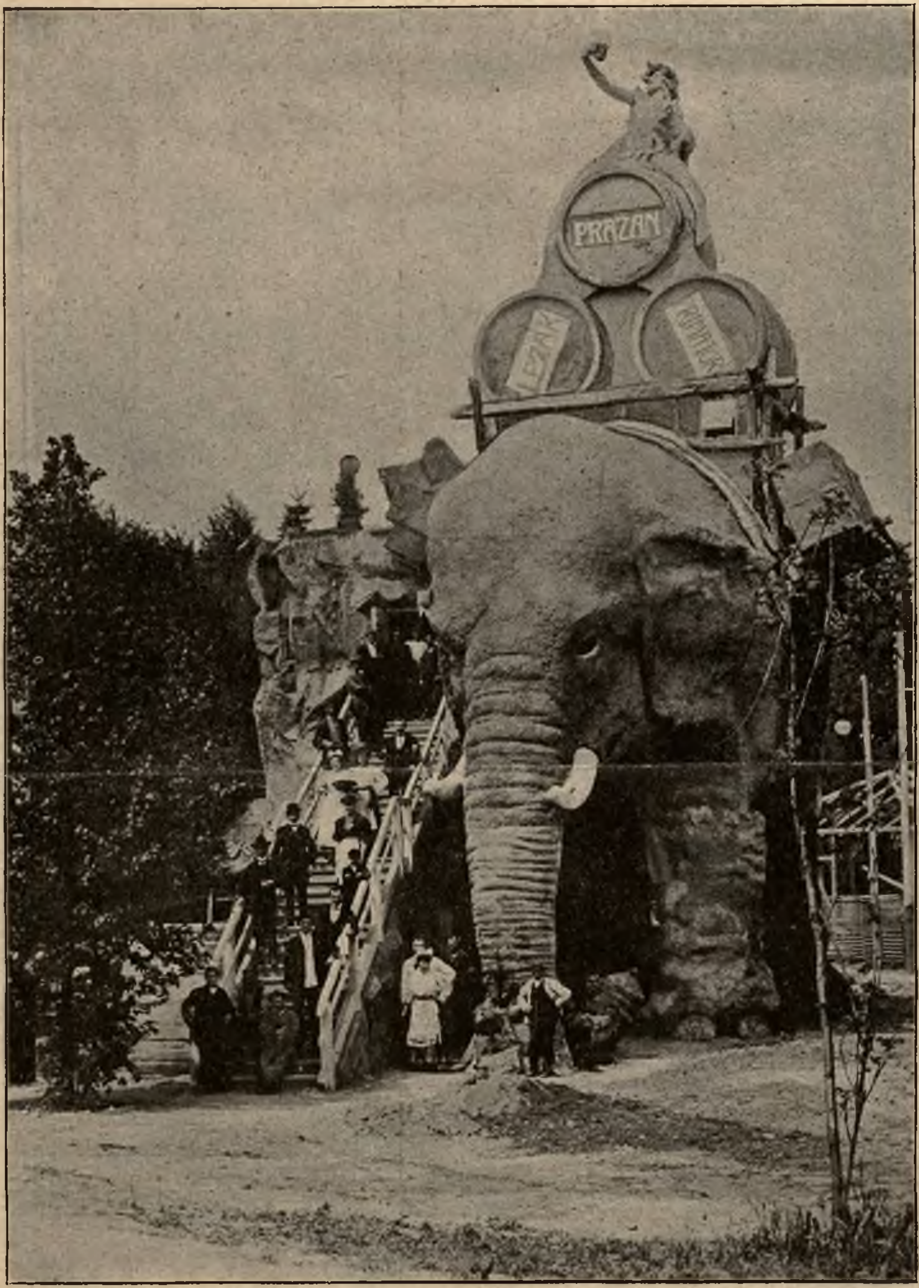
Powódź w Warszawie: Zalany wodą domek straganiarski i zastępująca go łódka z namiotem. (Do artykułu na str. 10).

U nas z wyrobów czeskich znane są powszechnie: szynka praska, granaty, szkło i porcelana, jednakże wszystko to jest pochodzenia niemieckiego. Głównie przemysł porcelanowy i szklarski, koncentrujący się w okolicach Karlsbadu i Budziejowic, jest, jak był, w rękach niemieckich, a także rządowych.

Dopiero po rozglądnięciu się na wystawie widzimy, co jest właściwie forsą przemysłu czeskiego — w dziedzinie tych wyrobów osiągnęli Czesi rekord wprost światowy. A należy tu: cukrownictwo, piwowarstwo, wyroby stalowe, rękawiczki, buty, guziki, siatki na włosy i w wielkiej mierze grafika i druk, których piękne okazy widzimy na wystawie w imponującej ilości i wspaniałej jakości.

Jak przemysł czeski podniósł się w ostatnich latach, najlepszym tego dowodem, że gdy w czasie wystawy jubileuszowej w r. 1891 było 23 fabryk maszyn rolniczych na terytoryum czeskiem, dziś jest ich 52. Fabryki czeskie wyrabiają wszystko, co tylko przemysł fabryczny wymyślił, od subtelnych cacek do olbrzymich turbin parowych, od delikatnych aparatów chirurgicznych do potwornych i masywnych lokomobil i lokomotyw.

Słowem, kto ma tylko ochotę i warunki po temu, niech spieszy nad Wełtawę przyjrzeć się dorobkowi pracy naszych braci, a wróci stamtąd zbudowany, ze świeżemi siłami do pracy i z przeświadczeniem, że przecież ucisk ze strony Niemców stał się dla Czechów ogniem, w którym tak wspaniale wyhartował się ich charakter narodowy.



Czeska wystawa: Restauracyjny pawilon w kształcie słonia.



Czeska wystawa: Wejście do oddziału pocztowego w pawilonie przemysłowym.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

8

— Nie miej pan nadziei!... Boleść moja jest tak wielka, że gdybym nie miała rodziny, modliłabym się już za kratą klasztorną, przykuta do niej dożywotnią przysięgą... lecz mam do spełnienia obowiązek i spełnię go lojalnie. Zamiast poświęcić się służbie bożej, poświęcę się dla ojca... Chciej w słowach moich nie dopatrywać się ani cienia czegokolwiekbądź, coby mu ubliżyć mogło.

Korf skłonił się grzecznie. Przelotny, lecz złośliwy uśmiech prześliznął się po jego ustach.

— Małżeństwo nasze zatem — mówiła znowu Zofia — nigdy i niczem nie może być podobne do małżeństwa z miłości. Będzie to... sojusz, spółka... nawet poniekąd układ sprzedażny, zawarty świadomie i uczciwie. Moje i mojej rodziny położenie majątkowe jest podobno ze wszech miar nędzne i opłakane... Pan wie o tem. Co do mnie, nie znam szczegółów, odnoszących się do stanu naszych finansów, nigdy bowiem nie zajmowałam się sprawami pieniężnemi, więc nie mam o nich najmniejszego pojęcia. W zamian za ofiarę, jaką poniesiesz, pozyszczesz we mnie osobę wdzięczną, pełną szacunku, najgoręcej pragnącą ze wszystkich sił swoich dopomagać ci w interesach. Na bezwzględną wierność moją liczyć możesz stanowczo; mieć będziesz we mnie przyjaciółkę, oddaną ci niewolniczo, a uległą jak najuleglejsza żona. Uważać będę za moją powinność wypłacać się panu jak najsowiciej za pomoc, udzieloną memu ojcu. W całym, jak najszerszym zakresie wspólniczej pracy, zadań i obowiązków, wszelkie pańskie wymagania spełnię chętnie i w miarę możności jak najpilniej, lecz w zamian...

Zofia patrzyła na barona wzrokiem jasnym i spokojnym.

— Lecz w zamian? — zapytał on, a w głowie jego tętniła już wściekłość, hamowana z trudnością.

— Będę dla pana przyjaciółką, towarzyszką... nigdy żoną!

Z piersi Korfa wyrwał się krzyk niemal zwierzęcy. Zofia pomimo całej swojej odwagi struchlała. Baron jednak po chwili zapanował nad uniesieniem.

— Więc — rzekł uśmiechając się złośliwie — w chwili, gdy hrabia Wielohradzki zawiadomił panią o swojej ruinie, byłaś gotową wstąpić do klasztoru?

— Tak panie.

— I przez poświęcenie... raczysz mnie brać za męża?

— Czynię to, co poczytuję za mój obowiązek.

— Czy dowiem się od niej przynajmniej, jak zwał się człowiek, który mi zrabował serce pani?

— Nigdy!... Wszakże wspólnicy i stowarzyszeni nie są obowiązani odkrywać przed sobą tajemnic rodzinnych?

— A gdybym się nie zgodził na postawiony przez panią, upakarzający mnie warunek?

— Wolno panu go nie przyjąć.

— Lecz wtedy ojciec twój, panno Zofio, będzie zgubiony!

— Ojciec mój ma prawo żądać odemnie ofiary życia, nie zaś ofiary osoby. Oddanie się człowiekowi, którego nie kocham, uważam za nikczemność... pan zaś pewno rozumie, że nikczemności nie popełnię nigdy!

— Niech i tak będzie! — odparł Korf po krótkim namyśle. Pozostaje mi nadzieja, że potrafię zasłużyć na jej miłość... Pojmuję, jak boleśnie musisz być podrażniona. Narzucają ci związek małżeński z człowiekiem dla pani obojętnym... i to w chwili, gdy pragnęłaś utonąć cała w swoim smutku. Więc odpuszczam ci wszystko, co mi powiedziałaś. Wiem dobrze, że nie myślisz tego, co mówisz... Nie jestem o to zazdrosny... Wierzysz, że myślę o tem!

— Nie odparła Zofia z prostotą — poddaję się przeznaczeniu.

— Wreszcie... cokolwiekbądź pani mówi, pewny jestem, że nie wstąpiłabyś do klasztoru, bo ojciec jej nie pozwoliłby na to. Czas ułagodzi cierpienie... Chciej mi wierzyć, niema boleści wiecznych. Hrabia prędzej czy później... dajmy na to, dopiero za lat parę... skłoniłby panią przecież niezawodnie do zgodzenia się na inne małżeństwo... Dlaczegoż mnie odpychasz?... Teraz chyba pewną jesteś, że panią ubóstwiam... Gdybym cię nie kochał, czyżbym przyjął upokarzający mnie warunek?

— Może pan dotąd nie rozważałeś nad chwilowem uniesieniem, które ci się wydaje miłością? Gdy jednak zastanowisz się poważnie, niewątpliwie zapanujesz nad niem.

— Muszę panią mieć... muszę panią zdobyc!

— Nigdy!... Jeśli pragniesz, abym dziś jeszcze oświadczyła memu ojcu, że godzę się wyjść za pana, zobowiąż się solennie, że nigdy nie przekroczysz granic, rozdzielających nas na zawsze. Daj mi słowo, że żoną pańską w ścisłem znaczeniu tego wyrazu nie będę nigdy. Przypuszczam, że matkę swoją kochasz... mówiłeś mi, że żyje jeszcze... Otóż przysięgnij mi na matkę, że po ślubie pozostanę pańskim sprzymierzeńcem i przyjacielem... dobrym sprzymierzeńcem i dobrym przyjacielem... ale niczem więcej... niczem więcej!

Szli wybrzeżem czas jakiś, pogrążeni w głębokiem milczeniu. Korf trząsł się febrycznie. Ona spoglądała na niego spokojnie. To, co postanowiła, spełnić się musi... inaczej woli umrzeć!... Baron zatrzymał się i chwytając w swe gorące dłonie zimne rączki dziewczęcia, zawołał:

— Ja oszaleję przez panią!... Przecież kocham cię, więc nie powinnaś być dla mnie tak bardzo srogą!

— Jeśli masz zapomnieć o zobowiązaniu, jakie względem mnie zaciągniesz, to lepiej nie żeń się ze mną.

— Przeciwnie... ożenię się! Zgadzam się na wszystko! — krzyknął baron, a oczy jego iskrzyły się żarem namiętnym.

— Przysięgnij!

— Przy... O mój Boże!

Chwiał się jak pijany. Nie mógł się na nogach utrzymać.

— Przysięgam!... Słyszała pani? Przysiągłem... Przynajmniej do innego należeć nie będziesz!... Widzi pani, jak bardzo ją kocham, jeśli już teraz jestem o nią zazdrosny!

— Pamiętaj pan, że przysiągłeś na matkę swoją...

— Na moją matkę... tak — szepnął baron głęboko wzruszony. Lecz o warunku, jaki mi narzuciłaś, ona wiedzieć nie będzie... nieprawdaż?... Ona wiedzieć o nim nie powinna. To prosta kobieta, lecz ja ją kocham bardzo... W ciągu paru dni, które spędzicie razem, bądź dla niej dobrą i wyrozumiałą... Wszakże pani będzie dla niej bardzo dobrą?

— Przyrzekam to panu najsolenniej — odpowiedziała Zofia stanowczo. A teraz idę powiedzieć ojcu, że już może dać panu słowo... bo i ja go nie łamię.

Spokojna i poważna, chociaż jak co dzień smutna, zwróciła kroki ku willi ciotki, idąc powoli, bez pośpiechu.

Korf pozostał na wybrzeżu i patrzył za nią z zachwytem. W oczach jego malowało się uwielbienie bez granic.

— Dumna dziewczyna! — szeptał. Dumna... i szalona!

Potem wybuchnął z gwałtowną wściekłością:

— Tobie się zdaje, że możesz ufać mojej przysiędze, wydartej mi niemal gwałtem!... Och, och, och, jakże się mylisz!... Pomimo pogardy, jaką mi okazujesz, zdobędę cię... i będziesz moją! Musisz być moją!... To ci przysięgam na duszę własną, która i piekła się nie lęka!

IX.

Przy rannym.

Ktoś o wczesnej godzinie zadzwonił tak silnie i gwałtownie do mieszkania dra Michała Marczaka, że lekarz nie czekając na służącego, sprzątającego pokój sypialny, wyszedł sam z gabinetu do przedpokoju i drzwi wychodzące na sień otworzył. Stał w nich człowiek stary, o dobrodusznym wyrazie, mocno zaczerwienionej i wzruszeniem napiętnowanej twarzy, o ruchach zarazem sztywnych i zamaszystych, nasuwających myśl, że ten po mieszczańsku ubrany „cywil" musiał długo służyć w wojsku — w kawaleryi.

— To ty Protazy? cóż tak rano? — pytał doktor. Czyżby, broń Boże, starsza pani zachorowała?

— Nie, panie doktorze — odparł zapytany ochrypłym głosem — to pan Zygmunt... Straszna, okropna awantura! Bylebyśmy go jeszcze zastali żywym! Zlituj się panie konsyliarzu, jedźmy zaraz. Mam dorożkę przed bramą...

— Czy wezwaliście miejscowego lekarza?

— Tak, tak! nawet niejednego... Ale ja w nich nie wierzę, tylko w pana. Jeśli kto go uratuje, Boże drogi, to tylko pan, panie doktorze... nikt inny!

Ufności Protazego nie zawiódł dr. Marczak. Przerwał swe badania i prace naukowe, licznych pacyentów powierzył opiece kolegów, a sam dnie i noce spędzał przy łożu przyjaciela, z wrodzonym sobie uporem targując się ze śmiercią o jego życie. Obecnie miał już nadzieję, że go ocali. Zygmunt w ciągu paru dni po zajściu w Sielance, istotnie konający (co w swoim czasie zanotowali reporterzy w kronikach dwu dzienników), następnie kilka tygodni zgorączkowany i nieprzytomny, powoli... powoli przychodził nareszcie do siebie.

Ciągłe zabiegi sędziego śledczego, który oczekiwał z niecierpliwością na polepszenie jego stanu zdrowia, aby przeprowadzić badanie, rozbijały się nieustannie o stanowczą opozycyę Michała Marczaka.

— Jeśli panowie — mówił on do sądowników — upierać się będziecie przy zamiarze badania go przed terminem, który uznam za odpowiedni, to oświadczam wobec świadków, że odpowiedzialność za zgon mego pacyenta spadnie na was, sam bowiem panów o rozmyślne zamordowanie go oskarżę.

Pomimo tak ostrej odprawy pewnego, pięknego poranku tak sędzia jak jego sekretarz znaleźli się przy łóżku Zygmunta. Umieli zjednać sobie babkę rannego, opowiadając, że trafili już na ślady bandytów, którzy napadli na jej wnuka. Jeśli więc ten, choć w paru słowach poinformuje ich, gdzie i jak odbył się napad, czeka zbrodniarzy zasłużona kara. Skorzystali nawet z chwilowej nieobecności Protazego, posłanego do apteki, żeby wtargnąć do sypialni Zygmunta. Na szczęście wcześniej nieco niż codziennie, zjawił się także dr. Marczak w mieszkaniu druha na Pradze. Właśnie jeden z inkwizytorów chwyciwszy pacyenta za rękę, przemawiał do niego słodkim głosem:

— Łaskawy panie, wszakże czujesz się już znacznie lepiej, więc możesz odpowiadać... Odpowiadaj choćby króciutko, najkrócej... choćby tylko przez tak, lub nie, już my sobie damy radę... Jesteśmy na tropie złoczyńców, którzy ci podstępnie śmiertelny niemal cios zadali...

Na twarzy rannego, dotąd spokojnej, odmalowało się straszne przerażenie. Jęknął boleśnie:

— Nic... nic nie wiem...

Wtem w drzwiach sypialni ukazał się Michał. Zygmunt zwrócił na niego błagalne spojrzenie — spojrzenie, które wcale wyraźnie mówiło: „Ty jeden jesteś zdolny uwolnić mnie od tych natrętów".

Doktór zmarszczył brwi i krzyknął bez ceremonii:

— Tu widzę nie chcą mnie słuchać... Dobrze! w takim razie ja się wynoszę!

Poczem zwrócił się do babki i rzekł tonem surowym:

— Czy pani chce śmierci swego wnuka?

— Jego śmierci?!... Ależ doktorze, jakiem prawem posądzasz mnie pan o podobną nikczemność?! Nikt nigdy nie ośmielił się przemawiać do mnie podobnymi wyrazami i tonem podobnym!

— Przepraszam... przepraszam. Nie chcę dysputować, bo tu niema dyskusyi!

Zwrócił się do sądowników i rzekł wskazując na drzwi:

— Czy ja mam stąd wyjść, czy panowie?

Zygmunt podziękował mu wzrokiem, a sędzia i sekretarz powstali z miejsc w milczeniu. Dopiero w drugim, sąsiadującym z sypialnią pokoiku, natarli na Marczaka twierdząc, że ranny może śmiało wytrzymać dyskretnie prowadzone śledztwo, a działalność sprawiedliwości nie powinna być tak długo krępowana przez zbyt wymagającą przyjaźń.

— Tu niema przyjaźni ani przyjaciela — odparł doktór — jest tylko lekarz, odpowiadający za życie chorego. Ponieważ twierdzę na podstawie mojej wiedzy i doświadczenia, że wszelkie zmęczenie i wzruszenie szkodliwie oddziałać może na kuracyę i zwiększyć niebezpieczeństwo, grożące memu pacyentowi, zabraniam zatem, aby ktokolwiekbądź niepokoił rannego. Pochwycenie i osadzenie w więzieniu paru łotrzyków mniej ważnem mi się wydaje, niż życie uczciwego człowieka... A! nareszcie jest i Protazy!

Stary sługa wracał z apteki z płynami, służącymi do przemywania ran Zygmunta. Z ukosa i on spojrzał na sędziego śledczego i jego sekretarza.

— Protazy! — rzekł Marczak — nie ruszysz mi się nigdy od łóżka chorego ani na moment! Rozumiesz?... Odejdziesz spocząć wtedy dopiero, gdy ja przy nim będę. Znowu go dziś zmęczono, zmuszając do mówienia... Nie mogę pozwolić, aby się to raz jeszcze powtórzyło... Panowie — zwró-

cił się do nieproszonych gości — sam oznaczę dzień i godzinę, o której rekonwalescent panów przyjmie. Zawiadomić nie omieszkam! Przepraszam i żegnam.

A gdy skonfundowani sądownicy opuszczali skromny dworek praski, w którym się to wszystko odbywało, on wrócił do przyjaciela. Ranny z wysiłkiem wyciągnął doń rękę i szepnął:

— Dziękuję.

— Cicho bądź! Nie dla tego przepędzam stąd drugich, abyś ty mógł paplać! Zwrócił się do babki i pogroził jej palcem. — Co zaś do jaśnie oświeconej...

— Odchodzę, żeby się z panem nie kłócić — odpowiedziała staruszka, wzruszając ramionami.

Ale Marczak nie zwracał na jej zły humor uwagi. Wziął termometr i włożył go choremu pod pachę.

— Oho, trzydzieści siedm stopni i pół... Nieźle, nieźle!... Protazy! podaj mi papier, który leży na biurku.

Służący podał mu ćwiartkę, na której wykreślona przez doktora linia łamana wskazywała rozmaite zmiany w stanie gorączki pacyenta. Doktór przesunął papier przed oczami leżącego.

— Od dwóch dni gorączka spada. Sądzę, że niebezpieczeństwo minęło. Panowie z sądu niekoniecznie bez słuszności przyszli cię badać... Przypuszczałem jednak, że nie bardzo ci się chciało prowadzić z nimi dłuższą konwersacyę?

— Niezawodnie... nie chciałem — odparł ranny z całą energią, na jaką zdobyć się był zdolny.

— Cicho do dyaska! Tak, albo nie, wolno ci mówić... Więcej stanowczo zabraniam!

— Pozwolisz mi jednak powiedzieć, żeś mnie ocalił... i że moja wdzięczność...

Marczak położył mu dłoń na usta.

— Dość tego! dosyć!... Protazy! opatrunek!

Przy pomocy starego służącego, który spisywał się nie gorzej od niejednego szpitalnego infirmiera, odsłonił jedną i drugą ranę. Obie bliskie już były zagojenia. Otaczały je małe koła świeżego ciała, zasklepiające częściowo wcale już płaskie wklęśnięcia.

Doktór śmiał się dobrodusznie:

— Mości książe przyznać musisz, że miałeś szczęście!... To pchnięcie łatwo zboczyć mogło w stronę serca... ale serce widocznie żyć chciało... więc pchnięcie przespacerowało się na prawo. Tu jednak, nie zdaję sobie sprawy na prawdę, jakim sposobem cios szadany z tyłu, nie położył cię trupem na miejscu?... To nie nóż warszawskiego lub podmiejskiego włóczęgi wywołał taką ranę, prędzej puginał wschodni... czerkieski... albo kordelas myśliwski... co?... Zresztą nie pytam. Są rzeczy, których się nie wyjawia nawet najlepszemu przyjacielowi. Pozwoliłem sobie jednak odgadnąć, że nie chcesz odkryć tajemnicy, zwłaszcza ślepej pani Sprawiedliwości, która zwykle powierzone jej sekreta rozgłasza, wywołując przez to nieraz nie miłe komplikacye... No! nie lękaj się niczego! Przysięgam, że teraz pozostawią cię w spokoju aż do chwili, w której zapewnisz mnie, że masz już gotowe jakieś niewinne, a jednak sensacyjne i prawdopodobne opowiadanie...

— Tak, tak... tak w istocie będzie najlepiej...

— Cicho bądź! Nie fatyguj się rozmową ze mną... Zachowaj raczej siły na wysłuchanie tego, co gaduła Protazy ci opowie.

— Ja?! proszę pana doktora?! — rzekł eks-żołnierz nagle zaczerwieniony.

— Niezawodnie!... Nie wyobrażajcie sobie, że nie wiem, iż zaledwie się od was odwrócę, wnet stary rozpocznie długą gawędę.. bardzo interesującą. Ta rana jest na prawdę urocza! Cała już prawie zaciągnęła się jędrnem, twardem mięsem... Jesteś mój drogi wymownem zaprzeczeniem teoryi, jakoby ludzie, należący do ras starych, mieli w żyłach krew zepsutą. Co prawda mości książe, pomimo starożytności twojego rodu, nie podobny jesteś wcale a wcale i pod żadnym względem do owego stadka nicponiów, które mieni się u nas arystokracyą. No, no! nie krzyw się. Wiem, że nie lubisz, gdy cię tytułuję... ale nikt nas nie słyszy!

Po dokonaniu opatrunku Marczak pozostał jeszcze przeszło godzinę, uśmiechając się i wpatrując z zadowoleniem w bladą, lecz pogodną twarz przyjaciela. Po chwili przyszła i babka, a uszczęśliwiona widokiem uspokojonego i już nie gorączkującego wnuka, rozchmurzyła oblicze. Teraz ona palcem groziła doktorowi.

— Jesteś nieznośnym brutalem, doktorze. Nie umiesz uszanować moich siwych włosów... Pomimo to kocham pana bardzo, bo uratowałeś mi mojego Zygmusia!

Zygmunt objął jej postać długiem, powłóczystem spojrzeniem, w którem malowało się nietylko przywiązanie i tkliwość, lecz i serdeczna prośba o przebaczenie za tyle smutku i udręczeń, jakie jej sprawił. Ona zrozumiała, co wzrok jego chce wyrazić.

— Och, gdyby nie to zamiłowanie do sportu wioślarskiego! — szepnęła.

— Będę teraz ostrożniejszy... grzeczniejszy...—



Ranny z wysiłkiem wyciągnął doń rękę...

odpowiedział ranny cichym, miękkim i rzewnym głosem.

— Grzeczniejszy!... Och doktorze! nie możesz sobie wyobrazić, co on mi zrobił!

Marczak wzruszył nieznacznie ramionami. Co Zygmunt zrobił dla babki wiedział doskonale. Oto otoczył ją najczulszemi staraniami. Psuł staruszkę nieustannie, nie pozwalając jej zdać sobie jasno sprawy z całego ogromu ich ruiny finansowej. Księżna przyzwyczajona do zbytku, dzięki pracy i zabiegom wnuka nie odczuwała jego braku. Mieszkała wprawdzie w małym dworku drewnianym na przedmieściu, lecz dworek ten był otoczony ładnym ogródkiem, a jego wewnętrzne urządzenie i umeblowanie nosiło na sobie wykwintny, wielkopański charakter. Toalet dostarczały jej pierwszorzędne sklepy warszawskie. Służba składała się wprawdzie jedynie z kucharki i Protazego, ale Protazy aż do chwili, w której Zygmunt legł w łóżku, cały dzień kręcił się tylko koło niej, spełniając bardzo sumiennie wszelkie jej zachcenia i rozkazy.

Zygmunt zdawał się usypiać. Marczak wstał, pożegnał się z księżną, a Protazemu polecił czuwać dalej nad chorym. Przedewszystkiem: nie pozwalać mu mówić i samemu zachowywać się jak najciszej, żeby go ze snu nie wybijać.

— On pana doktora słucha, a mnie nie chce... Naprzykład wczoraj kazał sobie opowiedzieć wszystko, co się działo od czasu, jak utracił przytomność... Ma się rozumieć nie opowiedziałem mu nic!...

— Dziś możesz.. byle on tylko nie gadał. Rozumiesz?

— Rozumiem panie konsyliarzu.

W ciągu całego dnia chory zachowywał się spokojnie. Protazy musiał co chwilę coś księżnej podawać lub przynosić, bo chociaż to coś leżało nieraz na stole lub na komodzie, zaledwie o parę kroków oddalonej, czasem zaś nawet tuż pod jej ręką, babcia przyzwyczajona do usługi starego żołnierza, nie myślała ani wstać, ani wziąć danego przedmiotu sama. Gdy się ściemniło, przeczytała przy świetle lampy telegramy i kronikę w „Gazecie Warszawskiej“, poczem staruszka ucałowawszy wnuka w czoło, udała się do swego pokoju na spoczynek.

Wtedy Zygmunt krzyknął:

— Protazy! choć sam tu... i usiądź przy mnie.

— Proszę księcia pana nie gadać!

— Nie tytułuj!... Jeszcze się kiedy zdradzisz przy ludziach! Odetchnął i dodał: — Już mam sił dosyć, więc mówić mogę... a przynajmniej słuchać. Chcę, żebyś mi opowiedział wszystko... rozumiesz! wszystko... bo ja coś nie coś pamiętam, ale niezupełnie. Siadaj... i mów!

X.

Stary sługa.

Protazy zacisnął pięści z wściekłością. Widział w oczach, czuł w głosie Zygmunta gorączkę, która opuszczała chorego rano, lecz bez litości powracała wieczorem, on jednak nie miał dość siły woli i energii, żeby oprzeć się rozkazom umiłowanego panicza.

Od lat wielu przyzwyczaił się do posłuszeństwa, a w posłuszeństwie tem znajdował całą rozkosz życia, nie miał bowiem nikogo bliskiego sobie na świecie, ani żony, ani dzieci; jedynem jego przywiązaniem był Zygmunt, pan z panów, ostatni potomek wielkiej i zasłużonej rodziny, której dziadowie i ojciec Protazego służyli tak wiernie, jak wiernie i z poświęceniem bez granic służy on teraz zrujnowanemu i ukrywającemu przed ludźmi nawet tytuł swój i nazwisko. Stary patrzył ze smutkiem na zeszczuplałą twarz i wychudłe ciało Zygmunta.

Czy podobna — myślał — aby gorączka w tak krótkim czasie mogła zmienić zdrowego i pięknego młodzieńca w tak niezwykły sposób? Zapomniał, jak jego samego niegdyś, gdy z księciem-ojcem walczył na ziemi rodzinnej i w obcych krajach, zmieniały do niepoznania dolegliwe a czasem i długie cierpienia na łożach szpitalnych, po ranach odniesionych od kul bagnetów i pałaszy na rozmaitych polach bitew

— Ba, żebym to ja ich miał w łapach — zawołał — tych... tych tam huncwotów, którzy cię tak urządzili!... Dzięki Bogu, doktór Marczak powiada, że się już panicz wylizał, a on nie myli się nigdy... Gdy księżna - babcia dwa roki temu była już bardzo... bardzo krucha tak, że nawet przyjmowała Przenajświętszy Sakrament, on jeden rzekł, że nie trza się o nią lękać, bo to pani, co może i do setnego wieku dociągnąć...

Protazy mówił to jakby ze złością, jakby miał pretensyę do staruszki, że się tak dzielnie trzyma. Poczem poprawił poduszkę pod głową Zygmunta, a surowy wyraz jego twarzy złagodniał nagle. Z szarych, małych, zapadłych oczu, nad któremi strzępiły się kraczaste brwi siwe, spadały ciężkie łzy na ogromne białe wąsiska.

— Mój poczciwy stary — szepnął cicho Zygmunt.

Protazy uczuł się tymi prostymi wyrazami do głębi wzruszony. We wzroku eks-żołnierza malowała się wdzięczność i miłość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Katastrofa kolejowa pod Jarosławiem.

Już to nasza biedna Galicya, jeśli chodzi o nieszczęścia, trzyma prym przed wszystkimi krajami. Jeśli nie grad, to wylewy, jeśli nie gwałtowny pożar, to katastrofa kolejowa.

Co do katastrof kolejowych, to i dziwić się często nie trzeba, gdyż święci tu zwykle „tryumf“ osławiony „sparsystem kolejowy“. Naczelne władze kolejowe, w oczekiwaniu uznania z Wiednia, nie zważają wcale na wyczerpanie podwładnego im personalu i poprostu dziwić się trzeba, że w tych warunkach jeszcze stosunkowo „tak mało“ zderzeń lub wykolejeń. Dość popatrzeć się na niektóre nasze wielkie stacye t. z. dyspozycyjne, t. j. zaopatrujące wozami wszystkie mniejsze sąsiednie, gdzie przesuwanie wozów i zestawianie pociągów odbywa się nocą wśród egipskich ciemności, aby łatwo zrozumieć, że życie personalu pracującego narażone jest każdej chwili na wielkie niebezpieczeństwo. Czas służby ruchowej jest nienormalnie długi, a znużenie stąd wynikłe, staje się często także przyczyną katastrof, które niejednokrotnie naraziły skarb kolejowy na grube straty.

Jest to więc źle pojęta oszczędność kolejowa; oszczędza się setki, a potem płaci się milionowe odszkodowania, jak to miało n. p. miejsce po katastrofie pod Bukaczowcami.

I znów świeżo zanotowały dzienniki wielką katastrofę kolejową pod Jarosławiem. Dzięki Bogu obeszło się na razie bez strat w ludziach, gdyż zderzyły się dwa pociągi towarowe, z których obsługi jednak kilka osób odniosło cięższe i lżejsze obrażenia cielesne.

Ze stacyi Munina wyjechał ku Przemyślowi pociąg towarowy Nr. 79, który chcąc się dostać na tor normalny, musiał przejechać kilka torów i krzyżowe zwrotnice. Wyjazd był wprawdzie zabezpieczony odpowiednimi sygnałami bezpieczeństwa, mimo to jednak, w chwili gdy wspomniany pociąg przejeżdżał krzyżownice, najechał nań pociąg towarowy Nr. 88, pędzący od strony Przemyśla z chyżością 40 kilometrów na godzinę i wpadł z całą siłą na piąty i dalsze wozy pociągu Nr. 79 znajdujące się na torze II. i IV.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Katastrofa kolejowa pod Jarosławiem: Grupa rozbitych wozów na torze kolejowym.

Siła uderzenia i jego skutki były straszne. Lokomotywa pociągu Nr. 79 i cztery wozy, będące już na torze normalnym, formalnie odcięte od reszty, ocalały, pozostała jednak reszta wagonów pod naporem pędzącej z wielką chyżością lokomotywy pociągu przemyskiego i kilkudziesięciu wagonów zostały zdruzgotane, powyskakiwały ze szyn, piętrząc się jedne na drugich na piętrową przeszło wysokość. W jednem miejscu wagony wyrzucone ze szyn na kilkanaście metrów w górę, utworzyły barykadę, na której wierzchu znajdowała się cysterna, a z jej popękanych boków lała się strumieniami ropa. Z kupy gruzów, zniszczonych towarów i połamanych desek widać tylko żelazne szkielety wagonów, z których jedynie koła ocalały. Ofiarą katastrofy padły trzy konie wojskowe, których skrwawione cielska dodają jeszcze grozy obrazowi.

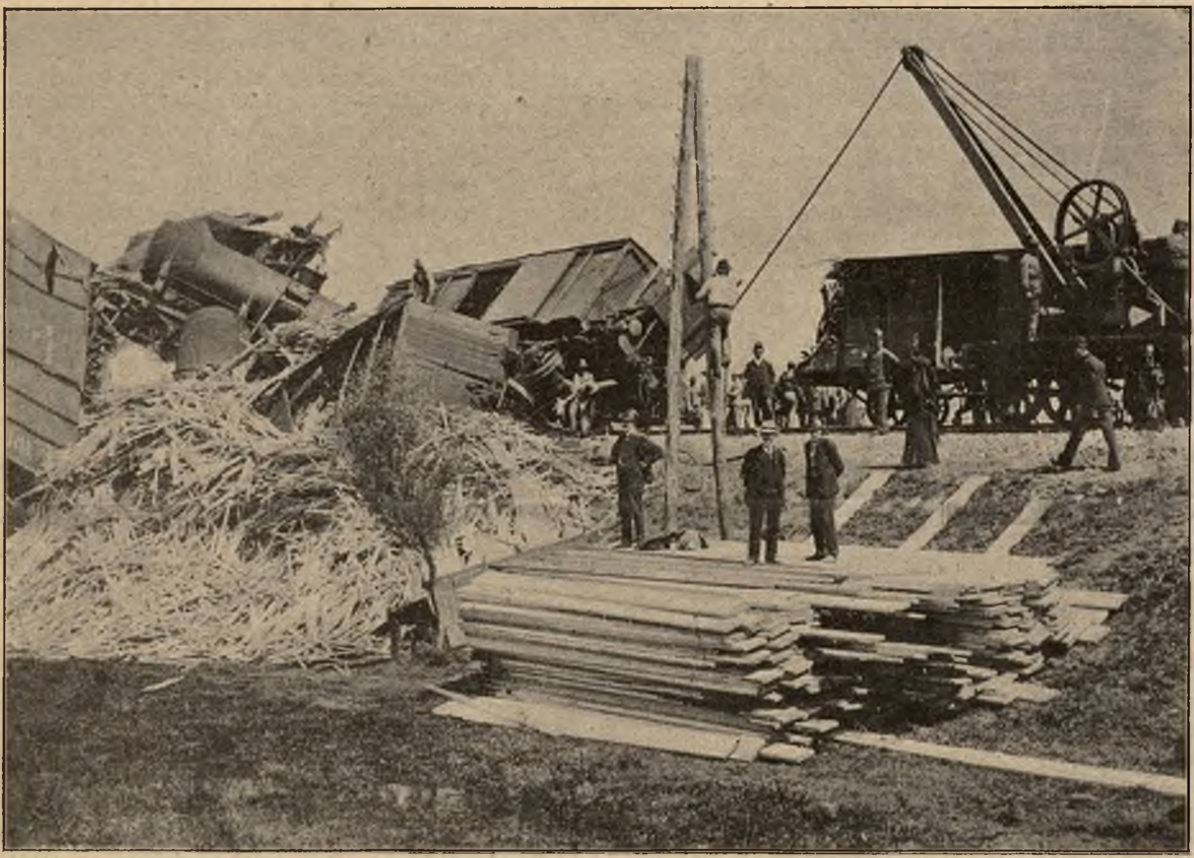
Główną winę ponosi w tym wypadku maszynista kolejowy pociągu przemyskiego, Maksymowski, który przeoczył sygnał wjazdowy do stacyi, ustawiony na „stój“ i spowodował katastrofę. Według doniesień pism codziennych, miał on się tło-



Katastrofa kolejowa pod Jarosławiem: Ogólny widok miejsca katastrofy

Fot. M. Todt, Przemyśl.

maczyć przed komisyą, że mimo pory dziennej zaspał na lokomotywie, coby może i dziwnem nie



Fot. M. Todt, Przemyśl.
Katastrofa kolejowa pod Jarosławiem: Praca około uprzątnięcia toru kolejowego.

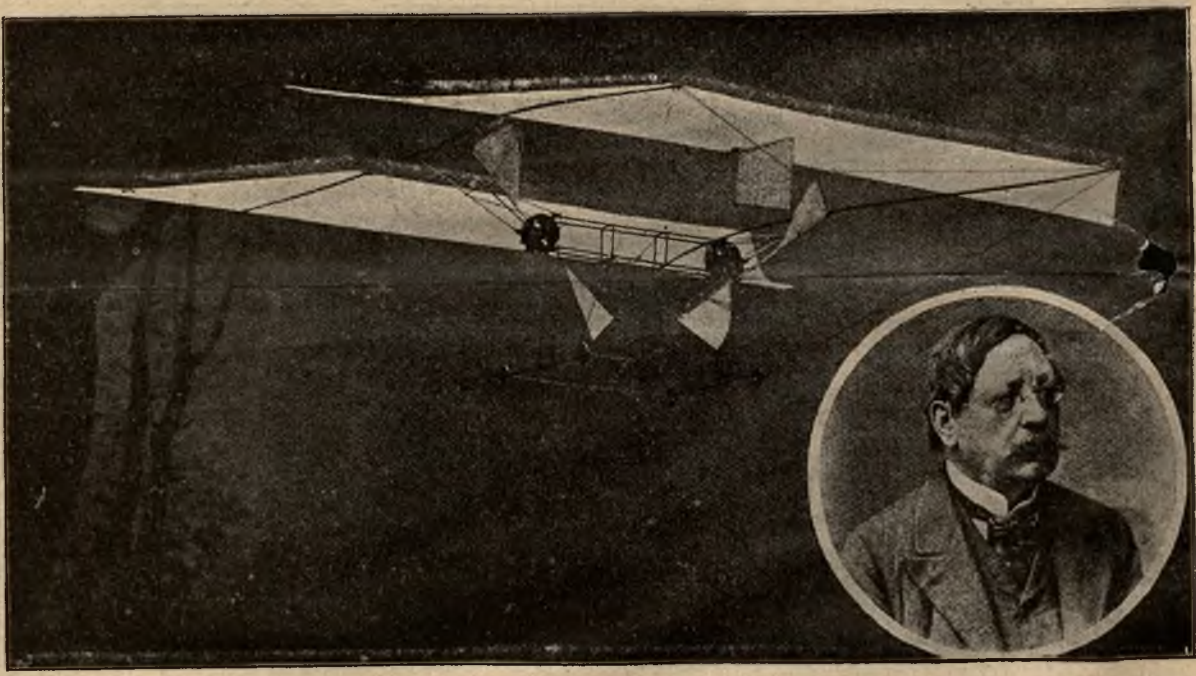
było, wobec ciężkiej i wytężającej służby maszynisty.

Illustracye nasze przedstawiają grupę rozbitych wozów, z cysterną na wierzchu, z której wyciekła ropa, oraz pracę około uprzątnięcia zawalonego rozbitymi wozami toru kolejowego, wreszcie ogólny widok miejsca katastrofy.

Żegluga powietrzna w Austryi.

Od chwili, gdy Francuzi wprowadzili w zdumienie całą Europę balonem swoim *la Patrie*, który jednak zrobił im figla i pożeglował w nieznane okolice, siłą się wszystkie państwa europejskie, by skonstruować jak najlepsze statki napowietrzne. Po Francyi przyszła kolej na Niemcy, gdzie hr. Zeppelin święcił tryumfy, obecnie do konkursu o pierwszeństwo w panowaniu nad powietrzem staje i nasza Austrya.

Austryacki inżynier Hipssich zbudował aeroplan, który różni się istotnie w kilku szczegółach od wszystkich dotąd znanych wynalazków. W nowej maszynie są dwie śruby powietrzne, co ma wpływać dodatnio na oszczędzanie siły, nadto łączy się z niemi lekki motor o sile pięćdziesięciu koni, a cały aparat zupełnie wykończony i zaopatrzony w najniezbędniejsze przyrządy, ma wraz z aeronautą nie przenosić trzystu kilogramów wagi.



Zegluga powietrzna w Austryi: Model aeroplanu inżyniera Hipssicha z Austryi. Poniżej portret wynalazcy.

Utworzył się już komitet, w skład którego wchodzą wojskowi i przedstawiciele świata technicznego i finansowego; komitet ma za zadanie dostarczyć wynalazcy środków do doprowadzenia do skutku przedsięwzięcia — czy znajdzie ono jednak praktyczne zastosowanie, przyszłość dopiero okaże, w każdym jednak razie musi coś być na tem, skoro się tem tak szczerze zajęto.

Podajemy illustracyę, przedstawiającą model aeroplanu inżyniera C. Hipssicha, oraz podobiznę wynalazcy.



Konstytucya w Turcyi: Sułtan Abdul Hamid II.

Konstytucya w Turcyi.

Najdonioślejszym dziś politycznym wypadkiem dnia i sensacyą, która zajmuje uwagę całego świata, a zwłaszcza całej Europy, jest przemienienie Turcyi z państwa absolutystycznego w konstytucyjne. Bohaterem prawdziwym jest najmłodszy monarcha konstytucyjny, Abdul Hamid II., o nim też dziś wszyscy mówią, o nim piszą. I przeważnie rzeczy, które dochodzą do wiadomości szerokiego świata z dworu sułtańskiego, są nowe i nieznane. Dotychczas bowiem dwór ten był otoczony tajemnicą i tylko szczupłe grono osób wiedziało, co się w jego wnętrzu dzieje.

Abdul Hamid II, sułtan sułtanów, chan chanów, cień Boga na ziemi, jest 34 panującym z dynastyi Osmanów. Tak jak podległe mu państwo, jest „chorym człowiekiem", cierpi bowiem od szeregu lat na nerkową chorobę, a nie chce poddać się operacyi, która mogłaby ją zupełnie usunąć. Zasadniczemi cechami charakteru Abdul Hamida są: nieufność, niestałość i kapryśne usposobienie. Dręczony ciągle podejrzliwością i obawą zamachów, niema właściwie stałego miejsca zamieszkania i przeprowadza się z jednego pawilonu do drugiego. A pawilonów tych jest w Yldiz-Kiosku około trzydziestu.

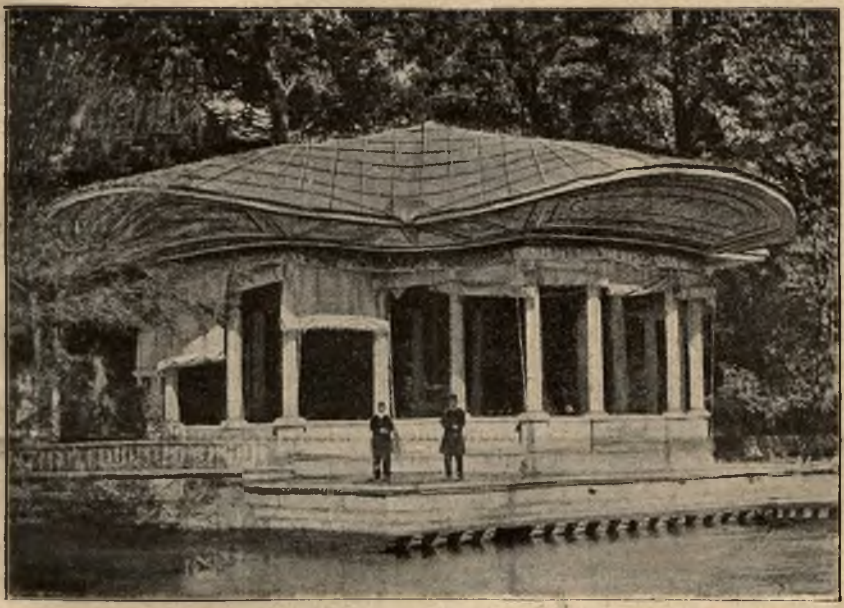
Przez cały dzień jest zajęty, ale zajęcia te możnaby nazwać „pracowitem próżnowaniem". Zwłaszcza sprawami państwa zajmuje się sułtan bardzo mało. Natomiast interesuje się żywo tem, co piszą o nim dzienniki europejskie, interesuje się dalej donosami szpiegów najrozmaitszych. Raporty ich bywają sułtanowi przedkładane zaraz rano po śniadaniu. Dużą część dnia poświęca Abdul Hamid rozrywkom wszelakiego rodzaju, konnej jeździe, strzelaniu z pistoletów, zegarmistrzostwu, chemicznym doświadczeniom, a dalej muzyce oraz teatrowi. Ważną rolę odgrywa na dworze jego błazen Ali Effendi, z którym zabawia się zwykle popołudniu. Lektura sułtana jest niewybredna a składają się na nią przeważnie sensacyjne romanse kryminalne.

Na spoczynek udaje się sułtan bardzo późno



Konstytucya w Turcyi: Synowie sułtana Abdul Hamida.

wieczór. A że obawia się nocy i jej ciemności i ciszy, więc całą rezydencyę oświetlają rzęsiście lampy, a muzyka nieraz godzinami całemi wygrywa smętne utwory. Straż zaś dworska przechadza się bezustannie pod drzwiami sypialni, w której „cień Boga na ziemi" spoczywa po „trudach" dnia.



Konstytucya w Turcyi: Jeden z pawilonów w Yldiz-Kiosku.



Konstytucya w Turcyi: Łoże w sypialni sułtana Abdul Hamida.



Konstytucya w Turcyi Gmach Parlamentu w Yldiz Kiosku, w którym 1876 r. ogłoszono pierwszą konstytucyę.

Wrzenie w Macedonii.

Jak wiadomo jedną z najdotkliwszych bolączek na ciele tureckiem jest i była sprawa macedońska, która padyszachowi przysparzała ciągle nowych kłopotów, a co najważniejsza dawała sposobność mocarstwom europejskim do mieszania się w sprawy wewnętrzne Turcyi, pod pretekstem uspokojenia Macedonii, co w rezultacie miało zawsze wprost przeciwne skutki.

Nadanie konstytucyi w państwie tureckiem wpłynęło dodatnio na ruch macedoński; większa część band powstańczych dobrowolnie się rozwiązała i członkowie ich powrócili do swojej ojczyzny, a i armia turecka, pod wpływem nowego prądu, wiejącego z nad Bosforu, z innym zapałem zabierze się do tępienia reszty band bułgarskich, jakie jeszcze grasują po kraju.

Ruch rewolucyjny, jaki obserwowaliśmy niedawno wśród wojska ottomańskiego, nie był nigdy skierowany przeciw sułtanowi, lecz przeciw reformom, jakie wprowadzić chciano w Macedonii i przeciw tajemnym zamysłom, jakie mocarstwa miały względem tego kraju. To też i zrewoltowany generał turecki Niazi-basza, w odezwie do bułgarskich wsi, w której wyjaśnia znaczenie ruchu młodotureckiego, daje temu wyraz, mówiąc o Macedonii:

„Ten kraj należy do nas, jak długo żyje jeszcze choćby jeden Turek, i nie pozwolimy nigdy, aby kto inny tam rządził".

Macedońscy chrześcijanie będą teraz, gdy nastały czasy konstytucyjne, mieli sposobność głośno i publicznie wypowiedzieć swe żądania; dotąd zastępowali ich w tem najskrajniejsi radykali i to z bronią w ręku. Oni to rozbudzili cały ruch powstańczy, który w końcu zwrócił się zupełnie tylko przeciw chrześcijanom. Bandy powstańcze w bardzo małej części potworzono w Macedonii; głównie składały się one z napływowej ludności z ościennych państw, przeważnie z Bułgaryi.

Ruch ten obecnie ustaje, nadanie konstytucyi zrobiły swoje, a sułtan nie pozwoli mocarstwom zajmować się sprawami macedońskiemi, które da Bóg, z czasem ułożą się pomyślnie dla tego wyniszczonego ciągłemi zamieszkami i nieustanną rewolucyą kraju.

W bieżącym numerze podajemy fotograficzne zdjęcia sztabu band Slowara Kowacza i Sandańskiego, przed ich dobrowolnem rozwiązaniem się, z których Czytelnicy łatwo poznać mogą doskonałe ich uzbrojenie i wyborną organizacyę.



Wrzenie w Macedonii: Sztab dowódcy macedońskich band powstańczych, Slovara Kowacza.

Ofiara własnych rodziców.

Często wydarzają się w świecie wypadki, na wiadomość o których nawet w tak „przeczulonem" dwudziestem stuleciu, poprostu włosy stają dębem na głowie, a oburzenie Czytelnika niema granic. Do takich wypadków, należą doniesienia o zbrodniach różnego rodzaju, jakich dopuszczają się rodzice względem własnych dzieci, a im większe miasto, i im bardziej rości sobie pretensye do cywilizacyi, tem częściej spotykamy tam takie męty i brudy, że poprostu wierzyć się nie chce, aby człowiek, obdarzony sumieniem, mógł się czegoś podobnego dopuścić.

Skandaliczna kronika wiedeńska wzbogaciła się znowu o jedno zdarzenie, które dosadnie świadczy o zdziczeniu i zdeprawowaniu społeczeństwa.

Na wiosnę bieżącego roku, odebrała sobie życie, wskoczywszy do Dunaju, znana powszechnie między złotą młodzieżą wiedeńską, a obracająca się w najlepszych kołach „hrabianka Mizzi", pasierbica Marcelego Veitha, byłego oficera, mianującego się hrabią rzymskim. Wdrożone śledztwo

wykazało jako przyczynę samobójstwa okoliczność, że ojczym i matka skłaniali Mizzi, już od jej czternastego roku życia do prowadzenia niemoralnego życia i że z tego sami ciągnęli materyalne korzyści. W znalezionych u Veitha zapiskach finansowych, figurowała pokaźna suma 44.000 koron, jakie osiągnął przykładny ojczym z hańby swej pasierbicy, w przeciągu czterech lat jej burzliwej karyery.

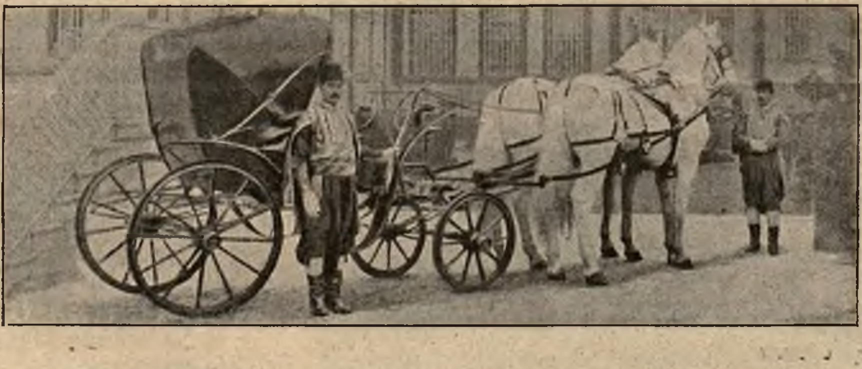


Wrzenie w Macedonii: Banda powstańcza Sandańskiego przed rozwiązaniem się.

Mizzi była nieślubną córką służącej Veitha, Anny Wimmer, z którą się Veith ożenił.

Obecnie rozpoczął się przed wyrokującym trybunałem we Wiedniu proces przeciwko obojgu rodzicom o zbrodnię stręczycielstwa do nierządu, i spodziewać się należy, że winowajcy poniosą zasłużoną karę, co wprawdzie biednej dziewczynie nie wróci życia, ale może będzie odstraszającym dla innych przykładem na przyszłość.

Illustracya nasza przedstawia podobiznę biednej Mizzi, ofiary chciwości własnych rodziców.



Konstytucya w Turcyi: Powóz sułtana tureckiego.

Powódź w Warszawie.

Później o dni kilka ale znacznie silniej niż w Krakowie dały się odczuć deszcze nieustanne i ulewy w Warszawie i okolicy. Tam bowiem Wisła wystąpiła z brzegów, zalała ogromne przestrzenie i poczyniła olbrzymie szkody materyalne nietylko w polach i po wsiach, ale i w samem mieście.

Przedewszystkiem zalała woda bulwary warszawskie i w ciągu niewielu godzin dosięgła schodów na szkarpie Zjazdu przy moście. Zalaną była cała lewa strona Wisły od mostu, t. zw. leśnictwo warszawskie, dalej Siekierki, Augustówka, Zawady. Po stronie prawej znalazły się pod wodą pastwiska Skaryszewskie oraz grunta Saskiej i Gocławskiej kępy. Także Gocław ze starym parkiem został zalany i stanowił jakby przylądek wśród przestworzy wodnych.

Tor kolejki został odcięty od stacyi „Most“, na linii kolei jabłonowsko-warszawskiej a pasażerów wysadzano powyżej, prosto na wał. Także tor kolejki podmiejskiej z Pragi do Jabłonny został zalany wodą. W pobliżu tego toru miał swoją sadybę w małym domku biedny pewien straganiarz. Gdy powódź domek zalała, biedak ów przeniósł część uratowanych rzeczy na dużą łódź, przykrytą namiotem, i zamieszkał w niej aż do chwili, gdy woda opadła i umożliwiła mu powrót do dawnego mieszkania.

Okropny wypadek.

Z niewyjaśnionych na razie powodów zaszedł w ubiegłym tygodniu straszny wypadek śmierci młodej kobiety. Stało się to pod miejscowością Twierdzą obok Frysztaka, na torze kolejowym. Znaleziono tam mianowicie wieczorem zwłoki żony budnika kolejowego, Leśniaka, z odciętą głową i ręką przez pociąg, który na godzinę przedtem zdążał tym torem z Jasła do Rzeszowa. Nieszczęśliwa kobieta poniosła śmierć na miejscu.

Wypadkiem tym zajął się sędzia śledczy z Frysztaka, chodzi bowiem o ustalenie powodów, które wywołały śmierć Leśniakowej. Zachodzi mianowicie możliwość, iż biedna kobieta straciła życie skutkiem nieszczęśliwego wypadku, nie jest jednak wykluczone, iż śledztwo wykryje inne przyczyny, a więc samobójstwo albo morderstwo.



Ofiara własnych rodziców: Mizzi Veith, która zginęła samobójczą śmiercią.

Załączone dziś przez nas ryciny przedstawiają zwłoki ś. p. Leśniakowej na torze, tak jak je znaleziono po wypadku, oraz podczas sekcyi, przeprowadzonej na miejscu wypadku przez komisyę sądowo lekarską.



Szalony wyścig: Niemiecki samochód »Protos« który pierwszy z biorących udział w wyścigu z Nowego Yorku do Paryża, stanął w Berlinie.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA.

przez Maurycego Leblanc.

2 (Ciąg dalszy).

— Ach! — zawołała z tą ciekawością kobiet, nieco okrutną — gdybym mogła widzieć jego aresztowanie!

— Czekajmy cierpliwie. Zapewne Arsen Lupin zauważył już obecność swego przeciwnika. Wyjdzie pewno ostatni, kiedy oczy starego będą już zmęczone.

Nastąpiło wylądowanie. Wsparty na swoim parasolu, Ganimard zdawał się nie zwracać uwagi na tłum, tłoczący się między dwiema poręczami pomostu. Zauważyłem, że stojący za nim oficer miejscowy od czasu do czasu robił mu jakieś uwagi.

Markiz de Raverdan, major Rawson, Włoch Rivolta, przeszli, a za nimi inni, wielu innych. Ujrzałem zbliżającego się Rozaina.

Biedny Rozaine! Znać było, że nie odpoczął jeszcze po przykrych przejściach.

— A przecież może to on — powiedziała mi miss Nelly — jak pan myśli?

— Myślę, że byłoby bardzo ciekawem mieć na jednej kartce Ganimarda i Rozaina. Otwórz pani mój aparat, mam tyle rzeczy w ręku.

Dałem jej aparat fotograficzny, ale zapóźno, aby mogła zeń skorzystać. Rozaine bowiem przechodził już właśnie. Oficer pochylił się do ucha Ganimarda, ale ten wzruszył tylko zlekka ramionami i Rozaine przeszedł.

A więc nareszcie, któż był Arsenem Lupin?

— Tak! — zawołała głośno miss Nelly— któż on jest?

Zostało nie więcej jak dwadzieścia osób. Przyglądała się im po kolei z pewną obawą, kto będzie wśród tych dwudziestu — on?

Rzekłem do niej:

— Nie możemy czekać dłużej.

Poszła naprzód. Postępowałem za nią. Lecz nie uczyniliśmy dziesięciu kroków, kiedy Ganimard zastąpił nam drogę.

— Cóż to? — wykrzyknąłem.

— Chwileczkę panie; czy panu tak spieszno?

— Towarzyszę tej pani.

Głęboko spojrzał mi w twarz, a potem zatapiając wzrok moich oczach, spytał:

— Arsen Lupin, prawda?

Roześmiałem się.

— Nie, Bernard Andrezy tylko.

— Bernard Andrezy przed trzema laty umarł w Macedonii.

— Gdyby Bernard Andrezy umarł, nie byłbym z tego świata. A tak nie jest. Oto moje papiery.

— To są jego papiery. Jakim sposobem doszedłeś pan do nich, będę miał przyjemność wytłomaczyć to panu później.

— Zwaryowałeś pan! Arsene Lupin płynie pod imieniem R.

— Tak i to raz jeszcze pańska sztuczka, puściłeś ich pan tam na trop fałszywy. Ach, jesteś tęgiej ręki mój zuchu! Ale tym razem noga ci się powinęła. No — Lupin, okażże się dobrym graczem.

Zasłuchałem się chwilę. Ostrem uderzeniem wyciął mnie nagle w prawe przedramię. Krzyknąłem boleśnie. Trafił w ranę niezabliźnioną jeszcze, o której donoszono w depeszy.

Nie było rady; trzeba się było poddać. Zwróciłem się do miss Nelly. Słuchała blada, chwiejąca się.

Wejrzenia nasze spotkały się; potem zwróciła wzrok na kodak, który jej wręczyłem. Ręka jej drgnęła i miałem wrażenie, miałem pewność, że zrozumiała wszystko. Tak jest: między wąskiemi ściankami czarnej skóry, w głębi tego drobnego przedmiotu, który miałem ostrożność złożyć w jej ręce przed śledczem okiem Ganimarda, tak, tam właśnie znajdowało się dwadzieścia tysięcy Rozaina, perły i brylanty lady Jerland.

Ach przysięgam w tej chwili stanowczej, kiedy Ganimard i dwaj jego akolici otoczyli mię, wszystko mi było obojętnem — moje uwięzienie, nienawiść ludzka, wszystko, oprócz jednego: co uczyni miss Nelly z tem, co powierzyłem jej pieczy?

Mogą sobie mieć w ręku ten dowód przeciw mnie, materyalny, rozstrzygający, nie myślałem nawet go się obawiać, lecz—czy go dostarczy miss Nelly?

Czy będę przez nią zdradzony? Czy zgubi mnie? Czy postąpi jak nieprzyjaciółka, która nie przebacza, czy raczej jak kobieta, która pamięta i u której pogarda złagodzi się odrobiną współczucia, odrobiną mimowolnej sympatyi?

Przeszła koło mnie, ukłoniłem się jej bez słowa bardzo nisko. W tłumie pasażerów wstąpiła na pomost z moim kodakiem w ręku.

— Zapewne — pomyślałem — niema odwagi zrobić to publicznie; lecz za godzinę, za chwilę odda.

Ale gdy znalazła się na środku pomostu, ruchem udanej niezręczności opuściła kodak do wody, wprost między murem wybrzeża i bokiem okrętu.

Poczem odeszła.

Piękna jej postać zmieszała się z tłumem, raz jeszcze ukazała mi się na chwilę i znikła. Skończone na zawsze.

Przez chwilę stałem nieruchomo, wzruszony smutkiem i zarazem słodkiem rozrzewnieniem; poczem ku wielkiemu zdziwieniu Ganimarda, wyrzekłem z westchnieniem:

— A jednakże żal mi, że nie jestem uczciwym człowiekiem!

W tych słowach pewnego zimowego wieczoru Arsen Lupin opowiedział mi historyę swego aresztowania. Zbieg wypadków, o których kiedyś napiszę opowieść, zawiązał między nami węzły... mamże powiedzieć przyjaźni? Tak, ośmielam się twierdzić, że Arsen Lupin udziela mi nieco przyjaźni, że przez przyjaźń wpada niekiedy do mnie niespodziewanie, wnosząc w ciszę mojej pracowni młodzieńczą wesołość, promienność gorącego życia, dobry humor człowieka, dla którego los niesie tylko uśmiechy i łaski.

Jego portret? Jakże podać go mogę? Ze dwadzieścia razy widziałem Arsena Lupin i razy dwadzieścia stawała przedemną inna postać... lub raczej postać ta sama. Lecz obraz jej podawało dwadzieścia zwierciadeł, obraz przeistoczony, zmieniony, chociaż każdy zachował jego szczególne oczy, jego specyalne rysy twarzy, jego ruchy, jego sylwetkę, jego charakter.

— Ja sam — mówił mi raz — nie wiem już, jakim jestem. Nie poznaję siebie samego w zwierciadle.

Śmieszne to może i parodoksalne, lecz prawdziwe w oczach tych, którzy go widują, a nie znają jego niewyczerpanych sposobów, jego cierpliwości, sztuki malowania się, cudownej łatwości przemieniania siebie, aż do objętości twarzy, aż do zmiany wzajemnego układu poszczególnych rysów.

— Dlaczego miałbym mieć zawsze stały wygląd? — mówił mi jeszcze. Dlaczego nie uniknąć niebezpieczeństwa osobistości zawsze jednakowej? Moje uczynki oznaczają mnie dostatecznie.

I podkreślił z pewnym rodzajem dumy:

— Tem lepiej, jeśli nie można powiedzieć zawsze z całą pewnością. To jest Arsen Lupin. Główna, jeśli da się powiedzieć bez obawy błędu: to uczynił Arsen Lupin.

Niektóre z tych uczynków, niektóre z tych przygód probuję oto odtworzyć według zwierzeń, które łaskawie zechciał mi poczynić w pewne wieczory zimowe, w ciszy mego gabinetu...

Arsen Lupin w więzieniu.

Niema chyba turysty, godnego tego imienia, któryby nie znał brzegów Sekwany, któryby nie zauważył, jadąc od ruin Jumièges do ruin Saint-Vandrille, dziwnego zameczku feodalnego, Malaquis, wznoszącego się tak dumnie na samym środku rzeki. Łuk mostu łączy go z drogą. Podstawy jego ciemnych wierzyczek spływają się barwą z granitową potężną skałą, na której zamek się wznosi, oderwaną nie wiedzieć z jakiej góry, rzuconą tu w jakiemś wstrząśnieniu olbrzymiem. Ciche wody wielkiej rzeki igrają między trzcinami dokoła i pliszki drżąc przysiadają na wilgotnym wierzchołku kamyczków.

Dzieje Malaquis są twarde jak jego imię, a ostre jak jego zarysy. Nie było tam walk, oblężeń, szturmów, łupiestw lub rzezi. W krainie Cau, w długie wieczory, drżąc, opowiadają sobie ludzie o zbrodniach, jakie tu się dokonywały. Z ust do ust podają sobie tajemnicze legendy. Mówią o sławnem przejściu podziemnem, które łączyło niegdyś opactwo Jumièges z rezydencyą Agnieszki Sorel, pięknej towarzyszki Karola VII.

W tem starem gnieździe bohatera i zbójów mieszka baron Nathan Cahorn, baron Dyabeł, jak go kiedyś nazywano na giełdzie, gdzie się wzbogacił jakoś trochę za szybko. Dziedzice Malaquis zrujnowani, musieli sprzedać mu siedzibę swych przodków za nędzny kawałek chleba. Baron umieścił w zamku wspaniały zbiór mebli i obrazów, porcelany i rzeźby drewnianej. Mieszka samotnie, z trzema starymi służącymi. Nigdy tam nikt nie dotarł. Nikt nigdy nie podziwia w tych antycznych salach trzech prawdziwych Rubensów, dwóch Watteau, krzesła Jana Goujon i tylu innych osobliwości, wyrwanych zapomocą biletów bankowych bogatym niegdyś ich właścicielom na publicznych sprzedażach aukcyjnych.

Baron Dyabeł obawia się. Obawia się nie dla siebie, lecz dla skarbów swoich, gromadzonych z taką zaciekłą namiętnością i z taką przezornością amatora, że najzręczniejszy z kupców nie potrafi pochwalić się, iż w błąd go kiedyś wprowadził. Kocha te swoje sprzęty. Kocha je chciwie jak skąpiec; zazdrośnie jak zakochany.

Co wieczór o zachodzie słońca czworo drzwi kutych żelazem, stróżujących w początku i końcu mostu, także u wejścia do paradnego podwórca zamyka się na zamki i łańcuchy. Za najlżejszem do nich dotknięciem dzwonki elektryczne donośnie dźwięczą w ciszy. Ze strony Sekwany także nie może być obawy: skała wyrasta z wody jak ściana.

Pewnego piątku we wrześniu posłaniec jak zwykle pojawił się u bramy przed mostem i podług codziennego regulaminu sam baron uchylił mu ciężkich podwoi.

Z uwagą szczegółowo oglądał przybyłego, jak gdyby od całego już szeregu lat nie znał tej poczciwej twarzy wesołej z przebiegłemi oczyma wieśniaka, aż posłaniec zawołał z głośnym śmiechem:

— To ja panie baronie. Ja — nie ktoś inny w mojej bluzie i czapce.

— Czy można kiedy wiedzieć... — mruknął Cahorn.

Posłaniec wręczył mu plikę dzienników. Poczem dodał:

— A teraz panie baronie coś nowego.

— Coś nowego?

— List... i to polecony.

Nie mając przyjaciół, ani nikogo, ktoby się o niego troszczył, baron nigdy nie otrzymywał listów, dzisiejszy zatem wydał mu się podejrzanym i baron zaniepokoił się. Kto mógł być tą tajemniczą istotą, która wkracza do jego kryjówki?

— Trzeba podpisać panie baronie.

Podpisał niechętnie. Potem wziął list, poczekał aż posłaniec na zakręcie drogi zniknie mu z oczu i przeszedłszy parę kroków wzdłuż i wpoprzek, oparł się o poręcz mostu i rozdarł kopertę. Wewnątrz znajdował się papier we czworo złożony z napisem u góry:

Więzienie La Santé, Paryż. Spojrzał na podpis: Arsen Lupin.

Zdumiony czytał:

„Panie Baronie!

„W galeryi, łączącej dwa pańskie salony, znajduje się obraz Filipa de Champaigne, doskonałej roboty, który mi się ogromnie podoba. Pańskie Rubensy także są w moim guście, również jak mały Watteau. W salonie po prawej wyróżniam kredens Ludwika XIII., dywany Beauvais'go, stoliczek empire z podpisem Jacoba i szkatułkę z Odrodzenia. W lewym salonie cała witryna błyskotek i miniatur.

Na ten raz zadowolnię się tymi tylko przedmiotami, które z łatwością, jak sądzę, znajdą odbyt. Upraszam zatem Szanownego Pana opakować je należycie i wysłać pod moim adresem (opłaciwszy portorya) na stacyę w Batignolles w ciągu tego tygodnia. W przeciwnym razie będę zmuszony sam je zabrać w nocy ze środy na czwartek 28 września. I naturalnie nie ograniczę się wówczas do przedmiotów wskazanych.

Racz pan wybaczyć tę trochę kłopotu, jaki panu przyczyniam i zechciej przyjąć wyrazy szczerego szacunku i życzliwości.

Arsen Lupin.

P. S. Przedewszystkiem nie przysyłaj mi pan największego Watteau. Chociaż zapłaciłeś pan za niego trzydzieści tysięcy w hali aukcyjnej, jest to tylko kopia; oryginał został spalony za Dyrektoryatu przez Barrasa w noc orgii. (Przejrzeć niewydane pamiętniki Garata).

Nie przywiązuję także wagi do kaszte-

lanki Ludwika XV.; autentyczność wydaje mi się wątpliwą".

List ten wzburzył do głębi barona Cahorn. Podpisany przez kogokolwiekbądź innego mógł zaniepokoić w najwyższym stopniu, a cóż dopiero, gdy go podpisał Arsen Lupin.

Gorliwy czytelnik dzienników, powiadomiony szczegółowo o wszystkiem, co dokonywa się w świecie kradzieży i zbrodni, wiedział baron dokładnie o wyprawach piekielnego włamywacza. Co prawda wiadomem mu było, że Lupin, złapany w Ameryce przez Ganimarda, dobrze był schowany i dobrze strzeżony i że sprawa jego jest w pełnym toku — i z jakiemi trudnościami! — lecz nie mniej wiedział, że można się od niego wszystkiego spodziewać. Przedewszystkiem ta dokładna znajomość zamku, rozmieszczenia sprzętów i obrazów były najstraszniejszą wskazówką. Kto go pouczył o rzeczach, o których nikt nie wiedział?

Baron podniósł oczy i przyglądał się w milczeniu potężnym zarysom zamku, jego stromej podstawie, głębi wodnej, która go otacza, i wzruszył ramionami. Nie, stanowczo niema się czego obawiać! Nikt w świecie nie zdoła przeniknąć do nienaruszalnej świątyni jego zbiorów. Nikt z pewnością — ale Arsen Lupin? Czy dla Arsena Lupin istnieją mury, bramy, mosty zwodzone? Na co się zdadzą najlepiej obmyślane przeszkody, najzręczniejsze ostrożności, jeśli Arsen Lupin postanowił celu swego dopiąć?

Tego wieczora jeszcze baron napisał do prokuratora republiki w Rouen. Posłał mu list z pogróżkami oraz domagał się opieki i pomocy.

Odpowiedź przyszła nazajutrz: rzeczywiście Arsen Lupin zamknięty jest w La Santé i strzeżony pilnie, a ponieważ pisać nie może, list zatem jest prostą mistyfikacyą. Wszystko na to wskazywało: logika, zdrowy rozsądek i rzeczywistość faktów. Mimo to przez zbytek ostrożności podano list ekspertowi do zbadania i ten zaświadczył, że pomimo niejakiego podobieństwa, pismo nie jest pismem Lupina.

„Pomimo niejakiego podobieństwa", baron zatrzymał się na tych tylko trzech przelotnych wyrazach, bo tu, według niego był punkt zupełnie wystarczający, aby sprawiedliwość obowiązaną była wkroczyć. Obawa jego wzrosła. Niezliczone razy odczytywał listy. „Będę zmuszony sam je zabrać..." I ta stanowcza data: „w nocy ze środy na czwartek 27 września!"

Ponury i podejrzliwy nie powiedział nic służącym, których przywiązaniu nie dowierzał. Jednakże po raz pierwszy od całego szeregu lat uczuł potrzebę pomówić z kimś, zasięgnąć czyjejś rady. Opuszczony przez władze sprawiedliwości państwowej, gotów był dotrzeć aż do Paryża i wezwać pomocy jakiego doświadczonego agenta policyjnego.

Dwa dni upłynęły. Trzeciego, otwarłszy dziennik, zadrżał z radości. *Refeil de Caudebec* podał takie doniesienie: „Mamy przyjemność posiadania w naszych murach już od trzech tygodni blisko, naczelnego inspektora Ganimard, jednego z zasłużonych weteranów służby bezpieczeństwa*). Pan Ganimard, któremu ostatni czyn bohaterski, ujęcie Arsena Lupin, zjednało sławę europejską, wypoczywa po długich trudach, atakując kiełbie i płotki"...

Ganimard! Oto właśnie pomocnik, którego szukał baron Cahorn! Któż lepiej jak nie przezorny i cierpliwy Ganimard potrafi zdemaskować zamiary Lupina?

Baron nie wahał się. Sześć kilometrów oddzielało zamek Malaquis od miasteczka Caudebec. Przebył je lekkim krokiem, wesoło jak człowiek, którego unosi nadzieja.

Po wielu poszukiwaniach bezowocnych udał się wreszcie do redakcyi *Refeil de Caudebec*, znajdującej się na samem wybrzeżu. Znalazł tam autora umieszczonej wiadomości, który na uczynione zapytanie, zbliżywszy się do okna, wykrzyknął:

— Ganimard! Znajdziesz go pan niewątpliwie nad brzegiem z wędką w ręku. Tam zabraliśmy znajomość i tam wyczytałem przypadkiem nazwisko jego wyrżnięte na lasce. Popatrz pan, ten mały staruszek tam, pod drzewami alei.

— W surducie, w kapeluszu słomianym?

— Tak, tak! Zabawny typ! — milczący, dziwak...

W pięć minut potem baron dopędził sławnego Ganimarda, przedstawił się mu i starał zawiązać rozmowę. Gdy się mu to nie udało, przystąpił otwarcie do rzeczy i opowiedział całe zdarzenie.

Ganimard słuchał nieporuszony, nie spuszczając oka z „biorącej" rybki; potem odwrócił głowę ku baronowi z wyrazem głębokiego politowania, obejrzał go od stóp do głów i rzekł:

— Panie, nie jest we zwyczaju uprzedzać ludzi, których się ma złupić. Zwłaszcza Arsen Lupin nie popełnia takich absurdów.

— Jednakże...



Baron bez słowa podał mu depeszę.

— Panie, gdyby zachodziła najmniejsza wątpliwość, wierz mi pan, przyjemność zapakowania raz jeszcze tego kochanego Lupina przemogłaby u mnie wszystko. Na nieszczęście młody ten człowiek jest już pod kluczem.

— A jeśli wymknie się?

— Nie wymykają się z La Santé.

— Ale on...

— On także, jak inni.

— Jednak...

— Dobrze! jeśli wymknie, się znów go pochwycę. Tymczasem śpij pan spokojnie, a przedewszystkiem nie płosz tej płotki.

Rozmowa skończyła się. Baron wrócił do domu nieco pokrzepiony pewnością Ganimarda. Przeglądnął zamki, przeszpiegował służących i gdy czterdzieści godzin upłynęło spokojnie, niemal przyszedł do przekonania, że obawy były płonne. Nie, stanowczo, jak to powiedział Ganimard, nie ostrzega się ludzi, których się chce złupić.

Dzień oznaczony zbliżał się. We wtorek rano, wigilią 27 nic nie zaszło. Ale o trzeciej zadzwonił jakiś chłopak. Przynosił depeszę:

„Żadnej przesyłki na stacyi Batignolles. Przygotować wszystko na jutrzejszy wieczór.

Arsen Lupin.

Nowa trwoga! tak silna, że baron pytał sam siebie, czy nie ustąpić wymaganiom Arsena Lupin?

Pobiegł do Caudebec. Ganimard łowił ryby na tem samem miejscu, siedząc na składanem krzesełku. Baron bez słowa podał mu depeszę.

— Co więcej? — spytał inspektor.

— Co więcej? Ależ to na jutro?

— Co?

— Napad! Złupienie moich zbiorów!

Ganimard odłożył wędkę, skrzyżował ręce na piersi i zwracając się ku baronowi, wykrzyknął z niecierpliwością:

— Ach, czy wyobrażasz pan sobie, że będę się zajmował podobnie głupią historyą!

— Jakiego wynagrodzenia żądasz pan za spędzenie w zamku nocy z 27 na 28 września?

— Ani grosza! Daj mi pan spokój!

— Wymień pan sumę; jestem bogaty, bardzo bogaty.

Brutalność oferty zmieszała Ganimarda; rzekł już spokojniej:

— Jestem tu na urlopie i nie mam prawa zajmować się niczem...

— Nikt wiedzieć nie będzie. Zobowiązuję się, cokolwiek się stanie, dochować milczenia.

— O! nic się nie stanie.

— Więc jakże?, trzy tysiące franków wystarczy?

Inspektor zażył tabaki, pomyślał; rzekł wreszcie:

— Dobrze! Tylko muszę panu oświadczyć otwarcie: będzie to wyrzucenie pieniędzy za okno.

— Nic nie znaczy.

— W takim razie... A zresztą, czy można wiedzieć kiedy, co ten dyabeł Lupin wymyśli? Musi mieć bandę całą na swoje rozkazy... Jesteś pan pewny swoich służących?

— Tak, prawdę powiedziawszy...

— A więc nie liczmy na nich. Wyślę telegram do dwóch chłopów, moich przyjaciół, tęgich zuchów; będzie nam pewniej... A teraz bądź pan zdrów; nie trzeba, aby widziano nas razem. Do jutra; dziewiąta wieczór.

* * *

Nazajutrz, w dniu oznaczonym przez Arsena Lupin, baron Cahorn zdjął ze ściany całe swe uzbrojenie, nabił broń i parę razy obszedł dokoła Malaquis. Nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi.

Wieczorem o wpół do dziewiątej odesłał służących spać. Mieszkali wszyscy w jednem skrzydle, wychodzącem na drogę, ale nieco cofniętem, na drugim końcu zamku. Pozostawszy sam, otworzył cicho wszystkie cztery bramy. Po chwili usłyszał zbliżające się kroki.

Ganimard przedstawił dwóch swoich pomocników, ogromnych, krzepkich chłopów z byczymi karkami i potężnemi rękami; potem poprosił o pewne wyjaśnienia. Zdawszy sobie sprawę z rozkładu wszystkich pokojów, pozamykał starannie i zabarykadował wszelkie możebne przejścia, któremi możnaby dostać się do sal zagrożonych. Zbadał ściany, obicia, poczem naokoniec umieścił agentów swoich w głównej galeryi.

— Niema tu żartów, słyszycie? Nie przyszliśmy spać. Za najlżejszym szmerem otwórzcie okna na podwórze i wołajcie na mnie. Uważać także na wodę. Dziesięć metrów prostopadłej skały, ale dyabłów tego kalibru to nie przestrasza.

Zamknął ich, wziął z sobą klucze i zwrócił się do barona:

— A teraz idźmy na swoje miejsce.

Na tę noc Ganimard wybrał małą izdebkę, znajdującą się w murze obwodowym pomiędzy dwiema głównemi bramami, która niegdyś służyła za schronienie odźwiernemu. Małe okienko wychodziło na most, drugie na podwórze. W jednym rogu widać było jakby otwór studni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Służba bezpieczeństwa w Paryżu ma znaczenie tajnej policyi. (Przyp tłom).

Ofiarność arcyksięcia.

Z okazyi katastrofy w Juszczynie, która ciężką żałobą okryła okolice Żywca, wspominały pisma codzienne, a zarazem i *Nowości Illustrowane*



Ofiarność arcyksięcia: Arcyksiężna Marya Teresa.

w jednym z poprzednich numerów, o szlachetnym dobroczyńcy miejscowej ludności, arcyksięciu Karolu Stefanie.

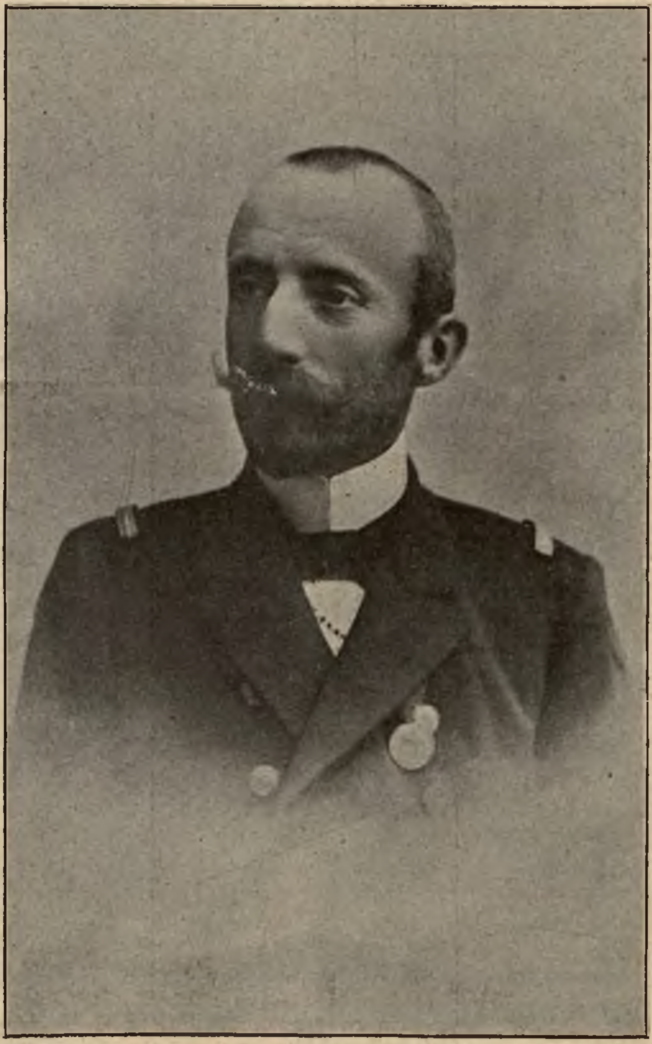
Arcyksiążę zaraz nazajutrz po katastrofie i w następnych dniach jeździł osobiście na miejsce nieszczęścia i tam zarządził, aby dotknięci katastrofą dostawali przez kilka tygodni chleb i ciepłą strawę, niemniej rozdał natychmiast 3000 koron jako doraźną zapomogę, przygarnął biednego sierotę Władysława Stokłosę, który w zamku arcyksiążęcym w pielegnacyi pozostaje, wreszcie wyasygnował ze swych lasów dla powodzian drzewa budulcowego za 30.000 koron, aby jak najrychlej mogli się znowu pobudować.

Tylu mamy w Galicyi arystokratów Polaków, którzy nie poczuli się wcale do obowiązku pospieszenia z pomocą uboższej swej a dotkniętej nieszczęściem braci, znalazł się dopiero człowiek obcy, który jednak w czasie dość krótkiego pobytu w Galicyi, zżył się z nią zupełnie i czuje się choć należy do panującej rodziny, prawdziwym obywatelem kraju, wykonywa też dobrowolnie, co zacny obywatel powinien.

Niejednokrotnie wspominały pisma codzienne o życzliwości, z jaką odnosi się arcyksiążę do społeczeństwa polskiego, wśród którego żyć mu wypadło — dość wspomnieć wmurowanie tablicy pamiątkowej w ścianę zamku żywieckiego, na pamiątkę pobytu w nim Jana Kazimierza, co każdemu Polakowi musiało sprawić przyjemność, jak również i tę okoliczność, że i zarząd dóbr arcyksiążęcych, idąc za wskazówkami swego pana, odnosi się do miejscowej ludności z całą życzliwością. Że wogóle wyrobiła się w kluczu żywieckim między dworem a wsią taka harmonia, jakiej nie znajdziesz gdzieindziej na całym obszarze Galicyi, to tylko zasługa arcyksięcia i jego osobistych przymiotów.

Dobra żywieckie odziedziczył arcyksiążę Karol Stefan, który jest admirałem marynarki wojennej austryackiej, po swym stryju, zmarłym w r. 1895, arcyksięciu Albrechcie, ostatnim bohaterskim dowódcy wojsk austryackich. Od tego czasu większą część roku spędza rodzina arcyksiążęca w Żywcu, gdzie stała się bardzo popularną.

Arcyksiążę jest synem arcyksięcia Karola Ferdynanda, bratem zaś rodzonym znanego przed laty i tak popularnego w Krakowie arcyksięcia Fryderyka (mieszkał przy ulicy Wolskiej, jako podpułkownik 13 pp.), obecnie generalnego inspektora armii austryackiej, a ożeniony jest z arcyksiężniczką austryacką Maryą Teresą.



Ofiarność arcyksięcia: Arcyksiążę Karol Stefan z Żywca.

Podajemy portrety obojga arcyksięstwa, jako wzór cnót obywatelskich, jako przykład dla naszego społeczeństwa.



Aparatem redakc. W. Lis.

Łodzią z Krakowa do Gdańska: Grono krakowskich nauczycieli w chwili wyruszania w drogę z Dębnik pod Krakowem.

Kronika tygodniowa.

(Sensacyjna »heca« w Wiedniu. — Przykładny tatuś żyjący z hańby swej córki, — Proces hr. Veitha. — Psychologia reporterska. — Jak bywa w »Wenecyi« wiedeńskiej. — Hejże na policyę! — Krótka pamięć Krakowian. — Niemcy w Galicyi).

W porze ogórkowej spadła Wiedeńczykom jakby z nieba wielce pożądana gratka pod postacią sensacyjnego procesu karnego. Była znowu „heca“, o której ojcowie rozmawiali w piwiarniach ogródkowych, gdzie pięciu otyłych piwoszów siedzi pod anemicznym oleandrem, którą obrabiały matki przy kawie, o której wreszcie szeptały podlotki, wyśmiewając przy tej sposobności naiwność swych matek.

Przed trybunałem orzekającym — jak się wyrażają prawnicy — stawała przykładna para małżonków i rodziców, która sprzedawała bogatym amatorom swoją piękną córkę i żyła dostatnio z jej hańby. Ci przykładni rodzice, to hrabia rzymski Marceli Veith i żona jego Anna. On — człowiek inteligentny, ale wykolejony, albo *declasse*, jak się trafnie wyrażają Francuzi, ona — była służąca, która z moralnością zawsze żyła nieco na bakier.

Rolę „alfonsa“ odgrywał tatuś, który córkę wodził po nocnych kawiarniach i przeróżnych zakładach rozrywkowych, oczywiście pierwszorzędnych. Miał też w niektórych kawiarniach nazwisko *strizzi*, co po krakowsku znaczy „łazik“. Córka „zarabiała“, a tatuś inkasował pieniądze i dochody nawet zapisywał w księdze. Pisząc o tym tatusiu, jeden z dzienników tamtejszych daje mimowolną próbkę pojęć o moralności, mających w Wiedniu tak legalny obieg, jak halerze i korony. Godzi się przytoczyć z owego dziennika ten ustęp, mający pretensyę do głębokiej psychologii, czy psychologicznej głębi, a będący tylko straszliwie marną kazuistyką reporterskiej duszy.

„Marceli Veith — powiada ów dziennik — okazuje wybitną indywidualność. Jest przedewszystkiem zagadką siły życiowej. Szalone skoki jego życia awanturniczego wcale go nie złamały. Ponieważ najlepszy i najintratniejszy interes jego skutkiem samobójstwa córki poszedł na marne, więc walczy on teraz z niezłamaną energią o wolność. Odegrał małą komedyę z wielką inteligencyą, ale małą siłą plastyczną. Mówił tonem cichego jęku, a przy sposobności akcentował moralność. Ale ton był fałszywy, a spokojny wzrok, oceniający skutki wymowy, zadawał kłam wzruszeniu. A jednak z tego monologu o chybionym tonie można było wyczuć, że ten człowiek, który wedle zeznań świadków sprzedawał swoją córkę, przecież ją kochał. Kiedy mówił: „moje dziecko było tak piękne“ — wtedy można było z twarzy jego wyczytać tęsknotę niekłamaną, a miłość równie przebija się z pamiętników nieszczęśliwej dziewczyny.

„I rozwiązując tę zagadkę, dochodzimy do następującego wniosku: Jeżeli ten człowiek jest winny, to może ją sprzedawał, ażeby ją uszczęśliwić. Wyrzekł się może mieszczańskiej moralności, nie chcąc sam umierać jako diurnista, a córki skazać na wegetowanie jako robotnica. Chciał jej zapewnić radości życia za cenę, że ona będzie dziewczyną publiczną, a on jej stręczycielem. I pod tym kątem widzenia wypadek ten otrzymuje osobliwe zabarwienie. Ta oczywista, niezaprzeczona miłość rozbraja. To zgodne postępowanie ojca i córki, aż do katastrofy, a nawet poza nią“.

Jak rzekomy, czy prawdziwy hrabia Veith pojmował miłość rodzicielską, mniejsza o to. Może ją pojmował w sposób wyżej podany przez dziennik wiedeński. Może Veith z wielkiej miłości wolał, ażeby córka jego była bogatą prostytutką, niż ubogą, ale uczciwą wyrobnicą, ale żeby tego rodzaju miłość „rozbrajała“, na takie twierdzenie zdobyć się może tylko wiedeński dziennik. Oto poprostu Veith nie chciał być diurnistą, tylko ptakiem niebieskim, choćby za cenę sprzedanej cnoty swojej córki. W to można uwierzyć. Psychologia niegłęboka, ale prawdziwa. Prawdopodobnie w taki sam sposób zapatrywała się na sprawę i córka Veitha, skoro sobie odebrała sama życie.

Kochający i zaślepiony ojciec, chcąc zapewnić po swojej myśli szczęście ukochanej córce, sprzeda własną duszę i cześć, popełni zbrodnię i zarzykuje kryminał. Taki ojciec posunie się do oszustwa, kradzieży, a nawet morderstwa — i taka miłość może do pewnego stopnia rozbroić. Ale handlowanie cnotą córki dla jej szczęścia nazywać rozbrajającą miłością, to już trąci moralną niepoczytalnością. W ostateczności można pojąć jeszcze jedno: oto Veith zabija córkę, a potem sam sobie życie odbiera. Sądzić mógł, że niema dla nich właściwego miejsca na świecie, więc odszedł sam i zabrał z sobą córkę. Ale sprzedawać ją przez cztery lata noc w noc — to ma być miłością rozbrajającą?... Bodaj to filozofia sprawozdawcy sądowego, któremu redaktor nakazał napisać coś koniecznie mądrego.

Istnieje w Wiedniu wielkie *etablissement* pod nazwą *Venedig in Wien*, gdzie jest teatrzyk, ogród, restauracya z separatkami i przeróżne inne środki do zabawiania się. Oczywiście hr. Veith uczęszczał i tam ze swoją córką, którą nazywano powszechnie *comtesse Mizzi*. Jak się zachowywał w owej „Wenecyi“ świadczy fakt, że inspektor tego zakładu Swoboda zabronił mu wchodzić z córką do ogrodu. Swoboda, przesłuchany jako świadek na tę okoliczność, zeznał w sądzie, że tak istotnie było. Wtedy obrońca Veitha zapytał, dlaczego dozorujący tam komisarz policyi nie zajął się tą sprawą. Na to odpowiedział Swoboda: „Policya jest nadzwyczajnie kulantną w naszym zakładzie, jako nocnym lokalu“. Przedtem zaś ten sam świadek wyraził się, że „Wenecya nie jest klasztorem“. Czy to jest źle, czy dobrze, nie będę tutaj rozstrzygał, wiem tylko, że we wszystkich miastach większych i we wszystkich podobnych lokalach, policya patrzy przez palce, choćby dlatego, że publiczność zlynczowałaby ją przy sposobności.

Ale nie o to chodzi. Otóż ten sam dziennik wiedeński, który został rozbrojony miłością ojcowską Veitha, oburza się z tego powodu na policyę i woła z namaszczeniem: „Policya jest kulantna. Gdzie? — zapytujemy z radością. Gdzie jest policya kulantna? Ależ w „Wenecyi“, brzmi odpowiedź, jeżeli chodzi o sprawy *à la* Veith. Przez cztery lata w publicznych lokalach Veith swoją córkę wiódł na drogę prostytucyi, wszyscy kelnerzy wiedzieli o tem, tylko nie policya“.

Ależ redakcyo zacnego dziennika — skądże to oburzenie? Przecież Veith czynił to z miłości dla córki, z rozbrajającej miłości. A zresztą wiedziała o tem i prasa, skoro w pewnem piśmie humorystycznem pojawił się na tem tle feljeton, którego autor stawał przed sądem jako świadek. Cała prasa wiedeńska wie, że „Wenecya“ nie jest klasztorem, ale jej to wcale nie przeszkadza w zachwalaniu tego przedsiębiorstwa i to w części redakcyjnej, bo w kronice.

W dziennikach wiedeńskich czytam ciągle zachwalające wzmianki o występujących tam „artystach“ i „artystkach“, o „repertuarze teatralnym“, o rozmaitych produkcyach gimnastycznych i t. p. I teraz oburzenie na policyę, że tolerowała Veitha w owym lokalu. Ależ owa „Wenecya“ nie jest klasztorem i dzięki reklamie prasy wiedeńskiej uczęszczają tam tłumnie rodziny ze swojemi córkami.

Niestety o tej „Wenecyi“ piszą często i nasze dzienniki. Tak sobie przelewają wiadomości kronikarskie z wiedeńskich pism do własnych szpalt i stąd czytelnik polski dowiaduje się więcej o „Wenecyi w Wiedniu“ niż naprzykład o wystawie okręgowej w Jarosławiu. A nasi mężczyźni, kawalerowie i mężowie, stanowią i bez tych wzmianek wcale pokaźny kontyngent pośród gości wiedeńskiej „Wenecyi“. Oj — stanowią. Kiedy się tam ubiegłego roku pokazywała nago „złota Wenus“, nazwana tak dlatego, że zamiast trykotów, miała pozłotę na ciele, z Krakowa dążyły do Wiednia gromady ciekawych tego widowiska. Prasa wiedeńska zapewniała naówczas jednogłośnie, że naga Wenus nie drażni nerwów, tylko daje „czyste zadowolenie estetyczne“. Pisali nawet o niej pochlebnie zawołani feljetoniści. A teraz hejże na... policyę.

Przenoszę się na bruk krakowski, ażeby stwierdzić, że mamy krótką pamięć. Oto dnia 28 lipca bieżącego roku minęło 25 lat od śmierci Władysława Anczyca, który umarł w Krakowie dnia 28 lipca 1883 r. Starsi pamiętają tę postać sympatyczną obywatela-literata, który cieszył się u nas wielką i zasłużoną popularnością. Urodzony w Wilnie zżył się z Krakowem i stał się „krakowskiem dzieckiem“.

W rocznicę dwudziestą piątą zgonu należała mu się wzmianka, ale dzienniki tutejsze zapomniały o niej. Prasa codzienna, tonąca w powodzi przeróżnych spraw, zasługuje w tym wypadku na wyrozumiałość, ale dziwi nas, że pośród tylu literatów krakowskich i pośród tylu znajomych nieboszczyka nikt się nie znalazł, ktoby ogółowi przypomniał autora „Kościuszki pod Racławicami“ Możemy dzisiaj spoglądać, jak to powiadają, z góry na „Chłopów arystokratów“, albo na „Emigracyę chłopską“, ale pozostał „Tyrteusz“, w którego strofach Anczyc wzniósł się na wyżyny prawdziwej poezyi.

Naostatek dla zbudowania naszych przeciwników „nacyonalizmu“ i „szowinizmu“ narodowego, a zwolenników jak największej tolerancyi nawet wobec największych wrogów, pomówię nieco o Niemcach w Galicyi. Otóż nieliczni koloniści niemieccy, rozproszeni w niewielkiej liczbie po kraju, dzięki wszechniemieckiej agitacyi z zewnątrz, utworzyli „Związek chrześcijańskich Niemców w Galicyi“ i założyli wychodzący we Lwowie dwutygodnik pod tytułem *Deutsches Volksblatt für Galizien*. Oczywiście wszechniemieccy agitatorowie wzięli się czemprędzej do szkół w koloniach niemieckich, ażeby je uczynić ogniskami pangermanizmu.

Osławiony „Schulverein“ wysłał do Galicyi swego delegata, który zwiedzał niemieckie szkoły i złożył wydziałowi „Schulvereinu“ sprawozdanie. Na podstawie tego sprawozdania wyznaczył obecnie „Schulverein“ 19.380 koron na niemieckie szkoły w Galicyi. Byłoby zajmującą rzeczą, gdyby ktoś, mający potrzebny materyał pod ręką, obliczył, ile polskiego grosza kraj i gminy łożą na szkoły niemieckie.

Deutsches Volksbtatt mówiąc o rozdziale subwencyi powyższej pomiędzy szkoły niemieckie, powiada, że tylko ci mogą być uwzględnieni, którzy pozostali „wiernymi niemczyźnie“ i nie stali się „zdrajcami“. A kto jest zdrajcą? Na to pytanie daje *Volksblatt* następującą odpowiedź: „Kto dotąd znajdował się w obozie polskim, kto w zdradziecki sposób zaprzedał się polskim hrabiom, starostom i polskim klechom agitującym“. Jako zdrajcę napiętnował ów dwutygodnik pewnego kolonistę niemieckiego, który przeniósł się do Poznańskiego, a swoje gospodarstwo w gminie H. w Galicyi sprzedał... Rusinowi.

Konferencya słowiańska w Pradze także wywołała burzę w redakcyi *Deutsches Volksblattu*. Pismo to stara się ośmieszyć ów zjazd, obok tego zaś przypisuje mu tendencyę wrogą dla Niemców. Jeżeli myśl obrony przed pangermanizmem jest wrogą tendencyą, to się do niej przyznajemy.

Przy tej sposobności pociesza się *Volksblatt* tą okolicznością, że takie pismo potężne jak *Bukowinaer Nachrichten* dąsa się na Polaków i kiwa palcem w bucie. Bukowińskie piśmidło powiada, że na ostatniem posiedzeniu Koła polskiego w Wiedniu, posłowie ks. Stojałowski i Kozłowski mówili przeciwko przymierzu Austryi z Prusami i dowodzili, że obecnie Anglia daje Austryi sposobność do zmiany polityki. Wobec tego redakcya *Bukowinaer Nachrichten* przestrzega Polaków, ażeby z Niemcami nie żartowali, gdyż Niemcy „udowodnili swoją siłę szlachcicowi Badeniemu, którego napędzili z Wiednia“. Na Boga — skóra drży na nas...

h. j—e.

C. k. Dyrekcya kolei państwowych podaje do wiadomości, że począwszy od 20. sierpnia b r. będą się zatrzymywały codziennie pociągi osobowe Nr. 13. i 14. szlaku Kraków — Lwów także i w przystanku Grodkowice. Pociąg Nr. 13. będzie odjeżdżał z Grodkowic o godz. 11tej minut 43. przedpołudniem, a pociąg Nr. 14. o godz. 12tej minut 46 popołudniu.

Atleci we Lwowie.

Na kanikułę i ogórki dostał Lwów wesołą zabawkę. Zapasy atletów w cyrku Lipota. I to z szeregiem znanych i wybitnych siłaczów polskich i zagranicznych, przedewszystkiem zaś z „mistrzem-jubilatem“ Pytlasińskim oraz ulubieńcem publiczności lwowskiej, Zbyszkiem Cyganiewiczem. Więc też ludziska tłumnie garną się pod płócienny dach budy cyrkowej, by „podnieść ducha“ widokiem zmagających się i tarzających na arenie ciał atletów, by napawać wzrok wspaniałymi kształtami ich ciał, by podziwiać olbrzymie muskuły.

Zapasy trwają już od dwóch przeszło tygodni, przynosząc zwycięstwa jedno po drugiem obu polskim szampionom: Pytlasińskiemu i Cyganiewiczowi. Duma narodowa więc może być zaspokojoną. Ale i z innego względu mają tegoroczne zapasy we Lwowie specyalnie „narodowy“ charakter. Oto jeden z zapaśników, Schneider, szampion pruski, ma specyalny obowiązek popisywać się brutalnością „prawdziwie pruską“ i prowokować publiczność swem zachowaniem się. Zadanie swe spełnia doskonale. Walczy wbrew wszelkim regułom i przepisom, pieni się ze złości, gdy go pokona ktoś — jeśli nie z polskich — to bodaj ze słowiańskich siłaczów, pluje ku publiczności, przeprasza ją za to, zostaje wykluczony od udziału w zapasach, potem znowu dopuszczony, słowem robi wszystko, do czego został najęty, a publiczność ma nietylko widowisko nieraz wesołe, ale i może dać ujście „patryotycznym“ uniesieniom i użyć sobie na wykrzyknikach przeciw Prusakom.

Po za tą mniej smaczną stroną, zawierają zapasy atletów sporo interesujących i pięknych momentów, do których należą przedewszystkiem występy Cyganiewicza i Pytlasińskiego. Obaj ci siłacze walczą nadzwyczaj spokojnie i z powagą, wykazując nieposPolite zalety swych muskułów i swej taktyki. Pytlasiński, weteran polskiego zapaśnictwa, ale zawsze jeszcze w pełni sił i werwy, rosły, smukły, nad wyraz zgrabny, zachwyca gibkością ruchów i zwinnością. Zbyszko-Cyganiewicz, krępy, o niesłychanie silnych barkach i ramionach, to piękny obraz rozwijającej się i potężniejącej siły fizycznej. Bardzo sympatycznie przedstawił się we Lwowie nieznany tam dotychczas atleta holenderski van der Deyk, imponujący wzrostem i pięknymi kształtami a przytem nadzwyczaj zgrabny.

Wśród drużyny zapaśników przebywa obecnie we Lwowie i zaprawia się do zawodu siłacza 16 letni brat Zbyszka, Władysław Cyganiewicz. Wzrostem słuszniejszy i smuklejszy od brata, dorówna mu zapewne wkrótce siłą, bo już dziś daje jej niezwykłe dowody. To też brat i inni atleci przepowiadają mu świetną na tem polu karyerę.

Zapasy we Lwowie potrwać mają do połowy sierpnia, a rozgrywają się o nagrodę 5000 kor. ze strony dyrekcyi cyrku i 10.000 kor. ze strony Cyganiewicza.



Atleci we Lwowie: Stanisław Zbyszko Cyganiewicz.

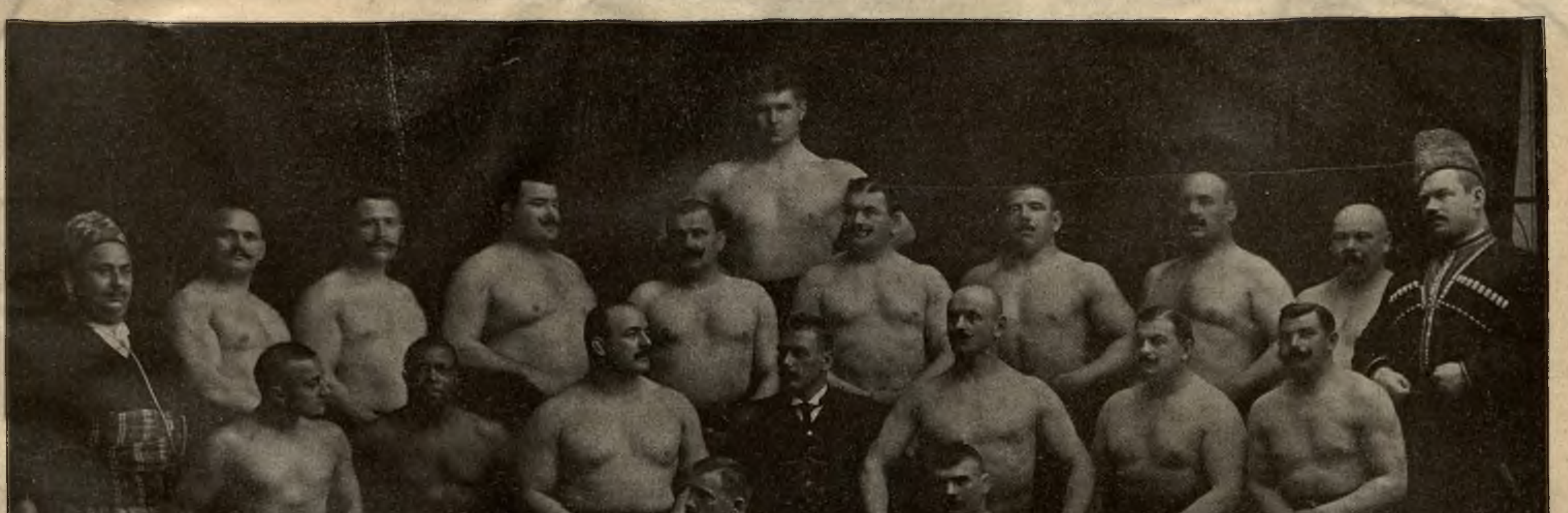
Szalony wyścig.

(Do illustracyi na stronie 10).

Po wielkim pamiętnym wyścigu automobilowym na przestrzeni Pekin-Paryż, zorganizowanym zeszłego roku przez dziennik paryski *Matin*, obmyślono nowe tego rodzaju zapasy, na jeszcze większą skalę, bo na przestrzeni Nowy York-Paryż.

Już w czasie, kiedy wyścig ten się rozpoczynał, podawaliśmy w „*Nowościach Illustrowanych*“ szereg szczegółów o nim — dziś zaś, gdy szalone przedsięwzięcie dobiega końca, podajemy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające samochód niemiecki „Protos“ w Berlinie, dokąd wóz ten pierwszy przybył. Ma tedy szanse zwycięstwa. Niebezpiecznym współzawodnikiem jest dlań angielski samochód „Thomas“ o silniejszej maszynie, pędzący w nieznacznej za nim odległości.

„Thomas“ był poprzednio pierwszym w wyścigu, w drodze jednak popsuł się a naprawki spowodowały zwłokę kilkunastudniową, skutkiem czego „Protos“ wysunął się na czoło. W jak szalonem tempie odbywa się jazda na drogach europejskich, dowodzi to, iż drogę z Moskwy do Petersburga przebył „Protos“ w dwu dniach.



Porthos van der Deyk 2 m. 17 cm. wysoki (Hollandya).
Hadzi Halil (Turcya). G. Schneider (Prusak). Weber (Niemcy). Daumas (Francya). Rogalski (Kraków). Abs II. (Niemcy). Wachturow (Rosya). Pierrard I. Colosse (Belgia). Maksymiak (amator Lwów). Michajłow (Rosya).
Wł. Cyganiewicz (Kraków). Zips (Ameryka). **Zbyszko Cyganiewicz** (Kraków). Specht, impressaryo (Wiedeń). Wł. Pytlasiński (Warszawa). Gebhardt. Filip.
Popławski (Łodź). Piłkowski (Mława).

Bieg maratoński.

Sławne igrzyska olimpijskie, niegdyś święto narodowe Greków starożytnych, wznowione obecnie w Anglii, przypomniały również i Maraton. I Anglicy postanowili w formie wyścigu powtórzyć szalony bieg gońca perskiego, który niosąc wiadomość o zwycięstwie, padł martwy na rynku w Sparcie, z okrzykiem zwycięstwa na ustach.

Naśladownictwo było tak dokładne, że omal nie doszło do podobnej katastrofy, w każdym razie jednak kilku szybkobiegaczów zemdlało na arenie. Wiścig odbywał się między Windsorem a areną igrzyskową na przestrzeni $26^{1}/_{4}$ mili angielskiej, co równa się 42 kilometrom. Zapisało się do biegu 55 uczestników różnych narodowości z przewagą jednak Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Hasło rozpoczecia wyścigu dała księżna Walii o godzinie 2·33 popołudniu, przy pięknej lecz upalnej pogodzie. Naprężenie między zgromadzoną publicznością, między którą była królowa angielska i następcy tronu szwedzkiego i greckiego, wzrastało z każdą chwilą, doszło zaś do kulminacyjnego punktu, gdy dano znać, że pierwszych szybkobiegaczów już widać.

W oddali zamigotała biała postać Doranda (Włocha). Przybył ogromnie wyczerpany, gdyż w czasie biegu wprowadzono go w błąd fałszywą informacyą, że tylko mila pozostaje do celu, a tu było jeszcze trzy. Dorando przyspieszył biegu i choć członkowie klubów sportowych, którzy towarzyszyli szybkobiegaczom na rowerach, podawali mu ustawicznie gąbki celem odświeżenia twarzy, ze zmęczenia upadł w odległości stu jardów od mety, bliski omdlenia. Po chwili się podniósł i znów biegł pewną przestrzeń, chwiejąc się na nogach. Ktoś z obecnych podał mu ramię, aby podprowadzić go ku taśmie, do której kilka jeszcze kroków brakowało i to właśnie stało się przyczyną zakwestyonowania jego zwycięstwa przez sąd konkursowy. Pierwszeństwo przyznano drugiemu szybkobiegaczowi Hayesowi (Ameryka), trzeci przybył Hefferon (Afryka południowa), który również zemdlał po przebyciu taśmy.



Bieg maratoński: Zwycięca Dorando w chwili, gdy w pobliżu mety upadł ze zmęczenia.

Wśród publiczności zebranej na arenie rozeszła się wieść, że Dorando z wyczerpania zmarł, na szczęście jednak polegała ona na złej informacyi.

Ponieważ właściwym zwycięscą był Dorando, a tylko wskutek protestu Hayesa, iż udzielono mu pomocy, unieważniono jego zwycięstwo, pierwszą nagrodę otrzymał wprawdzie Hayes, ale Dorandowi postanowiono w imieniu królowej, protektorki igrzysk, wręczyć kubek pamiątkowy.

Do przebycia wyznaczonej przestrzeni potrzebował Dorando 2 godzin, 54 minut i $46^{2}/_{5}$ sekund.

Wogóle zainteresowanie się publiczności angielskiej, która dobrze zna wartość ćwiczeń cielesnych dla rozwoju organizmu, igrzyskami, a szczególniej wyścigiem, do którego Anglicy czują jakąś wrodzoną słabość, było ogromne, nic więc dziwnego, że przedostało się i na szpalty wszystkich pism europejskich. I my podajemy naszym Czytelnikom dwa zdjęcia fotograficzne, przedstawiające najciekawsze momenty z przebiegu wyścigów t. j. ich zakończenie.



Bieg maratoński. Dorando przy mecie.

Łodzią z Krakowa do Gdańska.

(Do ilustracyi na str. 13).

Poznać kraj ojczysty wszerz [illegible] wzdłuż, poznać jego pięk[illegible] właściwości, poznać lud polski [illegible]go charakter, pamiątki narodowe, rozsiane tak bogato, tak hojnie w rozmaitych stronach, to obowiązek każdego Polaka. A obowiązek miły i wdzięczny.

W zamiarze spełnienia tego obowiązku wybrało się w ubiegłym tygodnia dziesięciu krakowskich nauczycieli na 20-dniową wycieczkę łodzią ku Gdańsku. Łódź nie duża, ot taka, jakich się mnóstwo widzi krążących po Wiśle. Miejsca w niej nie więcej, jak na 10 do 12 osób. Przed deszczem i przed żarem słońca chronić będzie dzielnych wioślarzy płócienny dach, rozpięty



Okropny wypadek: Zwłoki żony budnika Leśniaka na torze pod Twierdzą obok Frysztaka.



Okropny wypadek: Komisya sądowo-lekarska przy zwłokach ofiary wypadku. (Do art. na str

nad łodzią. W niedużym schowku pomieszczono parę tobołków z ubiorami i wiktuałami. I wyprawa gotowa.

Program wycieczki bardzo interesujący. Z biegiem Wisły płynąć będą uczestnicy ku północy, zatrzymując się wszędzie tam, gdzie jest cokolwiek godnego zwiedzenia. Pierwszy postój w Niepołomicach, drugi w Sandomierzu. W dalszym ciągu zwiedzą wycieczkowcy szereg miejscowości położonych nad Wisłą w Królestwie Polskiem, przedewszystkiem Warszawę i okolicę, następnie skierują się jeszcze dalej ku dolnemu brzegowi Wisły i po zwiedzeniu miast polskich w Poznańskiem, oprą się przez Toruń aż w Gdańsku. Stamtąd powrócą koleją do Krakowa.

Cała wycieczka trwać ma 22 dni, z czego kilka dni przeznaczono na pieszą wycieczkę po okolicach Poznańskiego, celem zapoznania się z tamtejszym ludem wiejskim.

Powodzenie wycieczki zależne jest oczywiście w znacznej mierze od stanu pogody. W chwili rozpoczęcia podróży padał deszcz, humory mimo to były bardzo dobre, bo krzepiła je nadzieja — iż niebo się „przetrze" i słońce zajaśnieje.

Ada Pagini w parku krakowskim

Teatr Rozmaitości w parku krakowskim rozpoczął w tym tygodniu nowy program, a program istotnie niebywale interesujący. Clou jego stanowi występ Ady Pagini, znakomitej wiolinistki, znanej w świecie artystycznym całej Europy. Tak poważne pismo, jak *Moderne Kunst*, nazywa ją pierwszą wiolinistką teraźniejszości.

Ada Pagini, mająca tytuł nadwornej wiolinistki, jest uczenicą królewskiej akademii muzycznej w Rzymie i mistrza Joachima. Już jako dziewczynka zwróciła na siebie uwagę muzykalnością, a po kilku latach wytrwałych studyów zdobyła sobie sławę w szerokim świecie. Podróżowała po całej Europie i koncertami swymi w Petersburgu, Londynie, Paryżu, Stockholmie, Madrycie, oraz w Ameryce, wprawiała w zachwyt najwybredniejszych znawców i krytyków. Została też obdarzona wielkim złotym medalem.

Grę Ady Pagini cechuje nietylko niezrównana technika, nieznająca żadnych niemal trudności, ale i słodycz ujmująca słuchacza, miękkość i głębokość tonów, oraz moc uczucia, jakie artystka wlewa w wykonywane utwory. W repertuarze jej naczelne miejsce zajmują takie utwory, jak koncerty Brucha lub Bacha, jak utwory Chopina i Wieniawskiego.

Uznanie należy się dyr. Franziakowi za to, że publiczności krakowskiej dał sposobność zapoznania się z tak znakomitą i sławną artystką, jak Ada Pagini.

* * *

Poza prawdziwie artystycznemi produkcyami znakomitej wiolinistki, zawiera nowy program szereg innych, wysoce interesujących popisów, stawiających krakowski teatr Rozmaitości w rzędzie pierwszorzędnych tego rodzaju etablissementów. I tak podziw wzbudza cyklista amerykański Chester Dieck, który wykonywa na rowerze saltomortale z pod stropu widowni na scenę. Popisy żonglerów, akrobatów jawajskich, oraz polskiego baletu pod kierunkiem baletmistrza Godlewskiego, dalej grupy Fereros, reprodukującej klasyczne rzeźby i grupy Warrington, gimnastyków, wreszcie bioskop amerykański, tworzą udatną i ogólnem cieszącą się powodzeniem całość.



Powódź w Warszawie: Tor kolejki jabłonowsko-wawerskiej pod wodą. (Do artykułu na str. 10).



Ada Pagini.

Tadeusz Pol.

W melodyjnej operetce Offenbacha „Pięknej Helenie", wystąpi gościnnie w teatrze krakowskim w roli Kalchasa p. Tadeusz Pol, znany artysta dramatyczny, obecnie dyrektor teatru prowincyonalnego polskiego w Królestwie.

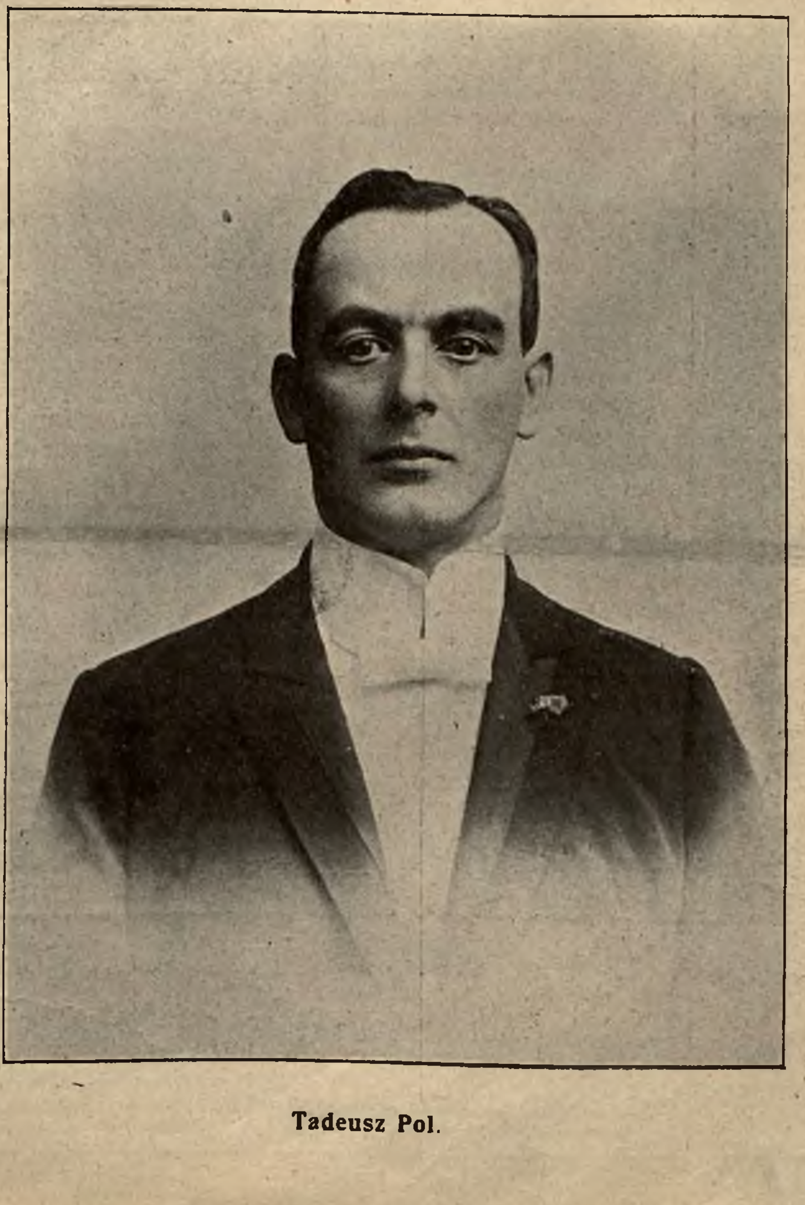
P. Tadeusza Pola zna publiczność krakowska, w teatrze bowiem tutejszym za dyrekcyi Koźmiana rozpoczął karyerę artystyczną przed 26 laty. Następnie bawił przez rok w Poznaniu, w czasie gdy dyrektorem tam był J. Rychter, poczem wyjechał do Warszawy. W Warszawie pracował przez długi szereg lat, grywając z ogromnem powodzeniem role komicznych amantów, wyjeżdżał też do miast Królestwa Polskiego, do Lublina, Sosnowca, Kalisza. Przez pełnych sześć lat należał do składu trupy teatru ludowego w Warszawie i prowadził tam reżyseryę. Od lat czteru prowadzi życie koczownicze, jako dyrektor polskiej trupy w Rosyi, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie.

P. Pol znany jest w Krakowie także z czasów pobytu w parku Krakowskim, gdzie przed 10-ciu laty grywał rolę Majcherka w „Królowej Przedmieścia", przyczyniając się w głównej mierze do powodzenia tej sztuki.

Repertuar p. Pola jest bardzo obszerny. W zakresie farsy i lekkiej komedyi, oraz operetki, jest niezrównany, tworzy typy przepyszne, jędrne, pełne humoru i życia.

Występ jego w „Pięknej Helenie" przyczyni się z pewnością do ożywienia przedstawienia.

Jak się dowiadujemy w ostatniej chwili, dyrekcya teatru miejskiego we Lwowie zaangażowała p. Pola na stałe. Artysta ten będzie bardzo pożądanym nabytkiem dla sceny lwowskiej, zwłaszcza wobec ustąpienia z niej dyrektora Lelewicza.



Tadeusz Pol.

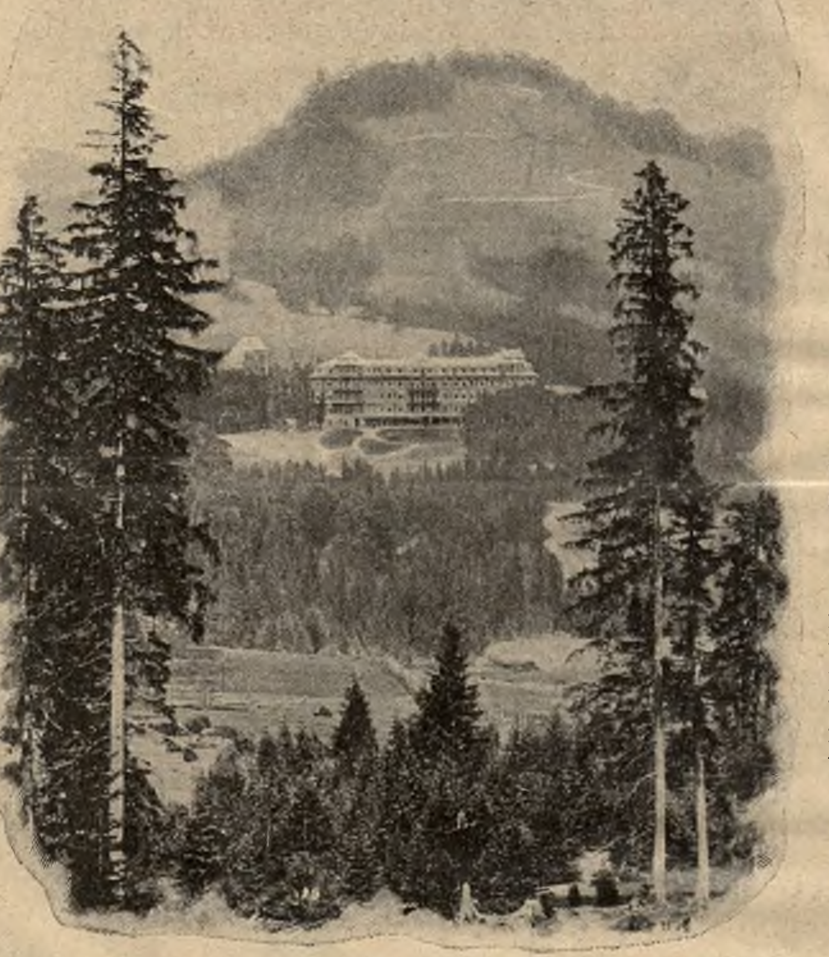
Senatoryum Dra Dłuskiego w Zakopanem.

Wiadomo, jak straszną plagą ludzkości jest gruźlica, która corocznie tyle tysięcy ludzi porywa, że w porównaniu z jej żniwem, nawet najbardziej krwawa walka zdaje się być dziecinną zabawką.

Nic też dziwnego, że społeczeństwo, poznawszy owego strasznego wroga stanęło z nim do morderczej walki i, z zadowoleniem skonstatować należy, że i w naszym kraju powstała placówka, mająca za zadanie powstrzymać tę plagę w jej żałobnym po świecie pochodzie!

Tą placówką — to założone przed paru laty sanatoryum dla piersiowo chorych Dra Dłuskiego w Zakopanem.

Jest to zakład pierwszorzędny, urządzony z europejskim przepychem, wedle wszelkich najnowszych zasad nauki. Teorya. że organizm powinien stawać się odpornym przeciw infekcyi, ma tu szerokie zastosowanie — jeśli w samym początku zwalczy się chorobę, można być pewniejszym dobrego wyniku, niż później, choćby się wyżyło setki proszków lub flaszek lekarstwa. A nic tak organizmu nie czyni



odpornym, jak świeże powietrze, a tego nam, dzięki Bogu, w Zakopanem wśród lasów nie brak i naturalnej, dyetetycznej kuracyi, jaką właśnie stosują w tym zakładzie.

Umiejętne kierownictwo zakładu spoczywa w ręku niestrudzonego dyrektora d-ra Dłuskiego, któremu dzielnie pomaga jego małżonka, również dyplomowana jako doktór medycyny, a każdy pacyent, jeśli tego potrzebuje, znajdzie tu cały arsenał środków lekarskich, które mają zwalczyć tego strasznego wroga ludzkości. Dr. Dłuski jest pierwszym z lekarzy w Galicyi, który w wypadkach gruźlicy wprowadził „werandowanie", które chorym tak znakomitą czyni ulgę.

O pieczołowitości względem chorych obojga dyrektorstwa, jak również o wygodach, jakie znajdą tu cierpiący i wspominać nie potrzeba — życzyćby tylko sobie należało, aby podobnych zakładów i tak prowadzonych, powstało w naszym kraju więcej, w szczególności zaś dla klasy mniej zamożnej, pomiędzy którą gruźlica tak strasznie się szerzy.

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a

6 Ciąg dalszy.

Jasno już było zupełnie, gdy dorożka zatrzymała się. Dzień zapowiadał się chłodny, lecz pogodny. Po przez małe obłoki przebijały się promienie słońca, złocąc ściany domów. Coche zatrzymał się w odległości kilku kroków od wskazanego miejsca, zdziwiony, jakby niepewny, czy nocne jego wydarzenia odbyły się w istocie, czy też przeżywał je tylko we śnie. Dom ten wydał mu się w świetle dziennem zupełnie różnym od tego, jaki widział w nocy. Wątpliwość ta jednak trwała niedługo. Własne ślady na ścieżce ogrodu przekonały go najwymowniej o nocnej jego wizycie, a większej jeszcze pewności nabrał na widok tabliczki z numerem, który tak starannie wbijał sobie w pamięć.

W chwili, gdy wzrok jego błądził niepewnie po ścieżce, o kilka kroków od niego zatrzymały się dwie dorożki, z których wysiadło kilka osób. Rozpoznał w nich komisarza policyi z podwładnymi urzędnikami. Za nimi nadjechało czterech agentów na rowerach.

Komisarz wahał się chwilę przed drzwiami, wreszcie zadzwonił. Wtedy Coche, który przyglądał mu się od samego początku, zbliżył się do niego i odezwał się jak najuprzejmiej:

— Nie zdaje mi się, by panu tutaj zaraz otworzyli, dom jest pusty, albo przynajmniej brak w nim ludzi, którzy byliby w stanie usłyszeć pańskie dzwonienie...

— Kto pan jest? O nic się pana nie pytam, proszę więc nie mieszać się w nieswoje rzeczy.

— Istotnie — odrzekł na to Coche, kłaniając się — winienbym był przedewszystkiem przedstawić się, proszę mi wybaczyć to zapomnienie: Onesime Coche z *Matin*, oto ma karta.

— Ach, to co innego — odpowiedział komisarz, oddając ukłon — bardzo się cieszę ze spotkania pana. Pański dziennik pierwszy podał wiadomość, która mnie niesłychanie zadziwiła. Obawiam się jednak, czy nie była to jakaś mistyfikacya.

— Czyż rzeczywiście tak pan komisarz sądzi? Jeżeli *Matin* podaje do wiadomości publicznej fakt jaki, to już z pewnością musi on być prawdziwy. Nakład nasz wynosi 800.000, nie potrzebujemy więc puszczać kaczek, ani też zmyślać jakichś skandali.

— O tem jestem przekonany, dziwię się jednak, skąd panowie mieli tę informacyę, skoro ja nic nie wiem o wypadku.

— Prasa rozporządza różnorakimi środkami wywiadowczymi..

— Hm, hm.. — zamruczał komisarz niedowierzająco i zadzwonił po raz drugi.

— Nie uważa jednak pan komisarz tego za dziwne, że nikt do tej pory nie odpowiedział na dzwonienie.

— Wcale nie! Dom ten może być niezamieszkałym...

— Wistocie jednak jest on zamieszkałym.

— Skąd pan to wie?

— Proszę mi wybaczyć, że nie odpowiem, zasłaniam się jednak tutaj urzędową tajemnicą. Bardzo pragnę służyć panu komisarzowi wszelkiemi informacyami, lecz zawód mój nie pozwala dawać mi odpowiedzi na wszystkie zapytania.

— A czy ma pan już jaką pewność?

— Mniej więcej. W każdym razie informator nasz miał szczegółowe wiadomości.

— Jego nazwisko?

— Ależ panie komisarzu, nie mogę przecież zdradzać naszych ludzi... Pan nie postąpiłby tak ze swoimi!

Komisarz spojrzał bacznie prosto w oczy Coche'owi:

— A jeżeli ja pana zmuszę do mówienia?...

— Przyznam się, że nie wiem, w jaki sposób może pan to uczynić, gdy ja zechcę milczeć. Zbyt jednak zależy mi na utrzymaniu dobrych stosunków z zarządem policyi, by wprowadzać zaraz jakieś nieporozumienia; wolę więc przyznać się, że nie posiadam żadnych szczegółów o naszym informatorze: ani jego nazwiska, ani wieku, ani płci, nic zupełnie, z wyjątkiem chyba tylko szczerości jego głosu, ścisłości w określeniach i pewnej powagi w wysłowieniu...

— W takim razie zwrócić tu muszę panu uwagę, że dopóki komisarz policyi nic nie wie o zbrodni, tylko zabójca lub jego ofiara mogliby coś powiedzieć. Ponieważ ofiara według pana nie żyje, a więc to morderca...

— A czy ja powiedziałem, że to nie jest także i moja myśl...

— Coraz lepiej! Cóż to za dziwny zbrodniarz! Przyznam się, że przez cały czas swego dość długiego urzędowania nie spotkałem jeszcze podobnego, a miałem już w swych rękach niezwykłych. Jeżeli należy on do pańskich znajomych, mógłby mi go pan pokazać.

— Chętnie uczyniłbym to, przypuszczam jednak, iż on nie podziela tego pragnienia. Ten on nie oznacza zresztą dla mnie zabójcy, lecz naszego informatora...

W tej chwili agent jakiś zbliżył się do komisarza:

— Z drugiej strony niema żadnego wejścia. Dom przytyka do innej ściany i posiada jedyne tylko drzwi, przed któremi właśnie stoimy.

— A, to tak! — odrzekł komisarz. Czy niema tu gdzie ślusarza? zresztą jest to zbyteczne, drzwi same się otwierają.

— Czy nie uzna pan tego nieodpowiedniem, gdybym ja panu towarzyszył — zapytał Onesime Coche.

— Nie będzie to nieodpowiedniem, ale przyzna pan, że policya wolałaby przy pierwszem badaniu terenu znajdować się sama.

Coche skłonił się na znak potwierdzenia.

— Zresztą — ciągnął dalej komisarz — nie sądzę, bym tutaj występował przeciwko pańskiemu dziennikowi. Wasz korespondent, tak doskonale poinformowany o wszystkiem, wie już zapewne więcej, niż ja będę wiedział, opuszczając ten oto dom...

Coche przygryzł sobie wargi i pomyślał:

— Żle ty wyjdziesz na swej ironii, jeszcze będziemy mieli sposobność pogadać o tem. Najbardziej irytowała go ta myśl, iż słów jego nie przyjmują na seryo. Patrzył, jak komisarz wraz z sekretarzem i inspektorem wchodzili do mieszkania, wzruszył ramionami i pozostał na straży przed domem, bacząc, by żaden z kolegów dziennikarskich nie dostał się tam wcześniej od niego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nadesłane.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności

Zagadki do nagrody.

Szarada głoskowa.

Ułożył K. Chodkiewicz.

Pierwsza w uroczym przebywa »Parnasie«,
Druga zaś pusta przebiega »stepy«,
Trzecia pamiętne zwiedza »Podlasie«,
Czwartą w utworze znajdziesz »Mazepy«,
W zdrojach »Karlsbadu« piąta leczy,
Szóska z chwałą tańczy »kadryla«,
Siódma zamiary nieraz »niweczy«,
O ósmą bracie pytaj »oryla«
I o ostatniej on ci coś powie,
Jeżeli twoja ciekawość wzrasta,
Znów przedostatnią masz w każdem »słowie«;
Całość, to piękny kolor — i basta.

Szarada.

ułożył Zygmunt N. z Warszawy.

Pierwsza, trzecia — czwarta, pierwsza
Nie jest wcale »trzecia, druga«,
I od wielu ona szersza,
I na setki mil jest długa.
A zaś całe —
Czarne, małe.

Szarada.

Pierwsza w alfabetycznym znajdzie się szeregu.
Nie trudno ją odszukać, stoi blisko brzegu,
Trzecia w tymże szeregu, lecz w głębi się kryje,
Druga zaś, to zwierzę, które w wodzie żyje.
Całość imię panienki, brzmiące wcale ładnie,
A ktoby chciał je poznać, niech szaradę zgadnie.

Logogryf.

Ułożył Maryo z nad Dniepru.

Liczby zastąpić głoskami, tak, aby środkowe, czytane z góry na dół, dały nazwisko jednego z najpoczytniejszych pism polskich.

			19			
		6	15	23		
	9	18	5	19	15	
	7	9	15	19	10	
		15	4	16		
			27			
		2	25	13		
	2	13	25	19	10	
	5	25	13	19	15	
		23	22	14		
	13	10	23	23	15	
	6	10	17	10	9	
	14	10	9	17	10	
		26	15	19		
		8	5	10		
	26	9	10	5	10	
		25	19	19		
7	9	21	8	14	25	28

Znaczenie wyrazów: Spółgłoska. 2. Ptak. 3. Miasto na Wołyniu. 4. Narzędzie rolnicze. 5. Kośćryby. 6. Spółgłoska. 7. Ptak. 8. Minerał. 9. Miasto na Litwie. 10. Ryba. 11. Inaczej orkan. 12. Słabość bardzo popularna. 13. Imię żeńskie. 14. Rzeka w południowej Rosyi. 15. Imię żeńskie. 16. Rzeka w Austryi, dopływ Dunaju. 18. Inaczej ciężar.

Za trafne rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya G. Zapolskiej: »Wczoraj«. Powieść wydanie II.

Rozwiązanie zagadek z Nru 30

Szarada.

Zegiestów.

Zagadka.

Kto wysoko lata, ten nisko spada.

Zagadka.

Kto smaruje, ten jedzie.

Logogryf.

Blanka Halicka, Nemesis.

Krzyż magiczny.

Traktat, rakieta. Matejko.

Logogryf.

Węgierski Trembecki.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: J. Antosz Kraków, A. Bocsoń Bóbrka, Z. Gruszczyńska Kraków, T. Kopystyński Lwów, A. Broniewski Kraków, A. Rotter Stanisławów, J. Witkowska Lwów, J. Wielgus Kalwarya, O. Górkowa Chyrów, Mazarski Kraków, J. Grotkowski Kraków, J. Diehl Stryj, R. Czaplicki Kraków, Michociński Władywostok, O. Rojek Lwów, Z. Wojtkowska Tarnopol, E. Misiewicz Wiedeń, J. Dobrzelewska Warszawa, K. Koperski Trzciana, W. Muszyński Lwów, E. Katarzyńska Kraków, J. Nowicki Włocławek, S Kowalski Kalisz, J. Pieniążek Lwów, Tannenzapf Czerniowce, Lorber Kimpolung, F. Karczewski Kraków, Z· Siemoński, Żywiec, Z. Grzesicka Stryj.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. E. Misiewicz, Wiedeń. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Z półek księgarskich.

Prof. A. L. Hickmanna: Tablica porównawcza monet 9 wydanie. Cena K. 3 = M. 2 50.

Ruchliwa firma G. Freytag & Berndt we Wiedniu, zakład kartograficzny znany z wydawnictw map i atlasów opublikował świeżo 9 wydanie porównawczej tablicy monet najważniejszych państw całego świata.

Na wielkim arkuszu widzimy w pierwszej rubryce herb odnośnego państwa, oraz flagę wojenną i handlową, obok wzmiankę o jednosce monetarnej danego kraju, jak również pouczenie o wartości mieszaniny służącej do wybijania monet. Środkowe dwie rubryki zajmują naturalnej wielkości odbitki monet poszczególnych krajów, kolorowane, pierwsza monety złote, druga srebrne. Państwa uporządkowane są według podobieństwa systemów monetarnych. Pierwszy dział stanowią kraje nie mające podobnych systemów, drugi republiki południowo i środkowo amerykańskie, trzeci Unia monetarna łacińska. Ostatnią wreszcie rubrykę stanowi tabela służy do obliczenia wartości przy zamianie najważniejszych monet w stosunku jednostki monetarnej w złocie i wartości nominalnej, bez uwzględnienia kursu.

Papier dobry, druk czysty, odbitki monet staranne, czynią bardzo dodatnie wrażenie i spodziewać się należy, że wydawnictwo to, o którego aktualności może świadczyć choćby 9 wydanie, znajdzie i u naszych kupców i przemysłowców szerokie zastosowanie, na jakie sobie bezwątpienia zasłużyła.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 hal. na koszta zmiany.

Przypominamy to ze względu na obecny czas wyjazdów do letnisk i miejsc kuracyjnych.



Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią zadowolnić

TUTKI CYGARETOWE

FRAM

z watą „Salvesol-Noris“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, wiec nic dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Własności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

wata „Salvesol“.

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio-mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. — Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „SALVESOL“. **Oryginalny pakiecik waty „Salvesol“ wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.**

1000 sztuk tutek „Fram“ Kor. 3·—.
10 cygarniczek 1 Kor. 20 hal.
Pakiecik waty „Salvesol“ 30 lub 60 halerzy.

Zakład przemysłowy wyrobów papier. „Noris“

Mr. W. BEŁDOWSKI, Kraków, 2

* Z dyskursów małżeńskich.

Żona: Pomyśl sobie, co za bezczelność! Tenpan Karol, co się to mieni twoim najszczerszym przyjacielem, zaproponował mi, abym razem z nim uciekła!...

Mąż (do siebie): Poznają cię, Karolu!... *Jesteś* rzeczywiście moim przyjacielem!...

Kraków Sławkowska L. 3 Telefon 516

Kraków Hotel Saski Telefon 516



ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Szadkowski i Kopczyński
Lwów, plac Bernardyński 3.
Magazyn Broni i Pracownia rusznikarska
Polecamy broń myśliwską śrutowę i kulową — oraz wszelkie przybory łowieckie. Reperacye uskuteczniamy tanio i dokładnie.
Ceny niskie!

Potrzebny jest **praktykant** do zakładu cynkograficznego z ukończoną I. lub II. gimnazyalną, realną lub wydziałową. Zgłoszenia w Administracyi naszego pisma ulica Zacisze L. 7 między godz 2—4 popoł.

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie

Największy WYBÓR LALEK na Galicyę!



Fabryka Lalek, KRAKÓW, ul. Wolska 1/a

Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzane) i w krakowskich strojach. — Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki, mebelki **WÓZKI** itp. na składzie.

Bazar krajowy

w Krakowie, Rynek gł. 20 (róg ulicy Brackiej)

poleca wyroby krajowe po cenach fabrycznych w wielkim wyborze:

Buczackie makaty przetykane złotem i srebrem w stylu słuckich pasów

Kilimy i Portyer we wszelkich rodzajach

Odznaczony dyplomem honor. i Medalem złotym na Wystawie wiedeńskiej 1907 r.
● Zaprzysiężony rzeczoznawca sądowy i oceniacz wojskowy ●

M. AMSTER, Lwów, ulica Jagiellońska 9

Pierwszorzędny Magazyn i pracownia Obuwia męskiego, damskiego i dziecinnego — poleca znane z trwałości obuwie gotowe na składzie, tylko własnego wyrobu. Zamówienia z prowincyi uskuteczniam szybko. 1—59



Tylko **Gramofony z Aniołkiem są najlepsze!** o czem kupująca Publiczność przekonaną jest.

SKŁAD FABRYCZNY 29—41

OSKAR BERGNER, LWÓW

Pasaż Hausmana 8.

Ceny oryginalne fabryczne. — Cenniki franco. Spis płyt na żądanie. — Centralna zamiana płyt.

TAPETY

I DEKORACYE POKOJOWE

z fabryk angielskich, francuskich i krajowych w największym wyborze poleca **nowo otworzony** jedyny i największy w kraju fabryczny **Magazyn TAPET, DEKORACYI pokojowych oraz wyrób Stór i Żaluzyi do okien**

I. Szydłowski, Lwów

Plac Smolki 1/a, róg ul. Jagiellońskiej.

Wzory z cenami wysyła się opłatnie.

STANISŁAW STACHOWSKI • Magazyn mebli i Zakład tapicersko-dekoracyjny

Kraków, ul. Sławkowska 6 — Telefon Nr. 730

Poleca swój obficie zaopatrzony magazyn w meble, dywany i dekoracye. Podejmuje się **kompletnych urządzeń** domów prywatnych, jakoteż pensyonatów i innych instytucyj po cenach nader umiarkowanych.

vis à vis hotelu Saskiego — Telefon Nr. 730